

impact MAGAZINE

Rozmowy | opinie | światowe autorytety

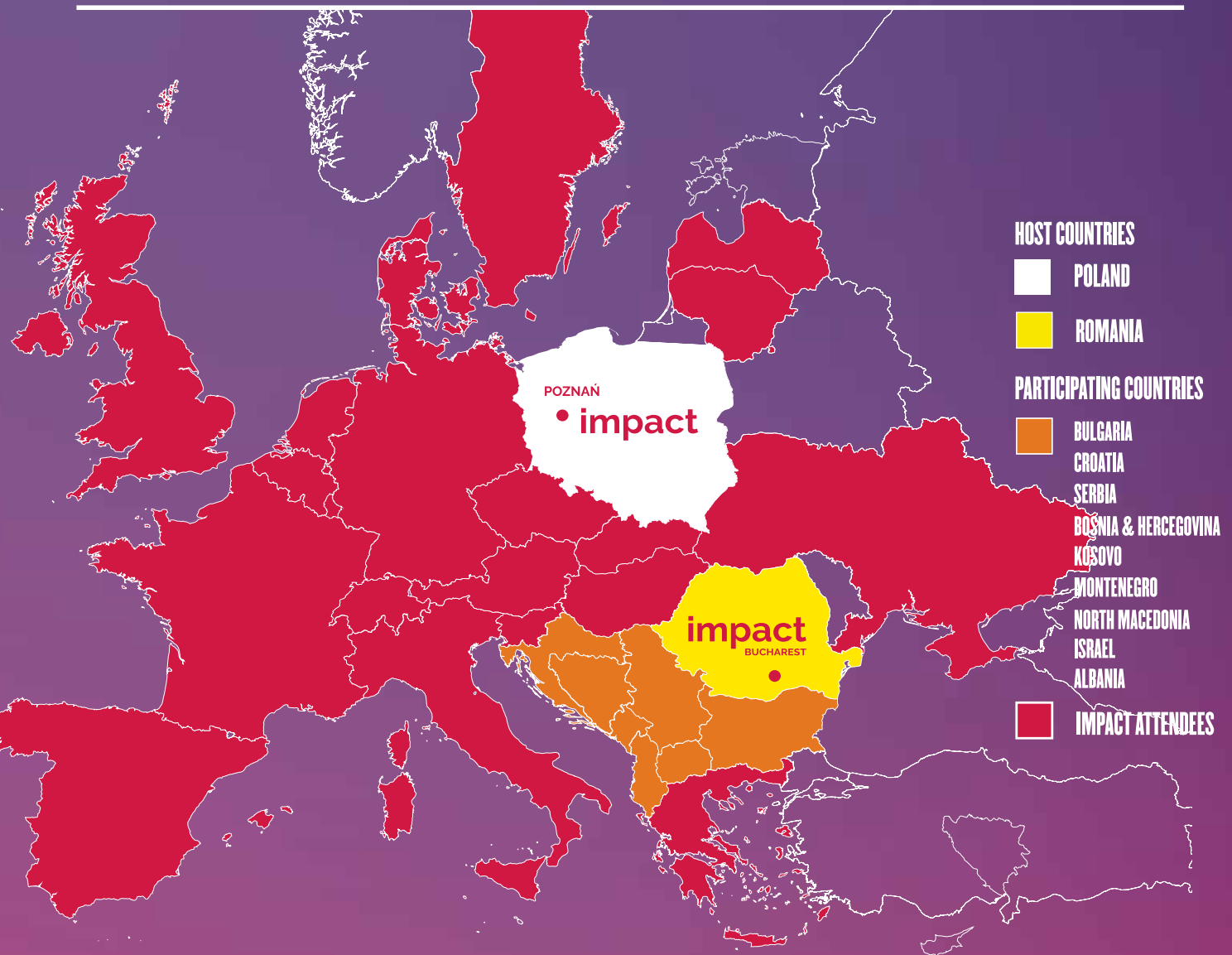
impact'26

IMPACTFUL IDEAS

DARON ACEMOGLU
PETER POMERANTSEV
OLGA TOKARCZUK
ERIN MEYER
SZCZEPAN TWARDOCH

TECHNOLOGIE Acemoglu: Jakich agentów stworzy branża AI | **SPOŁECZEŃSTWO** Pomerantsev: Mineły czasy demokratycznego dyskursu, Twardoch: Żyjemy w czasach przesilenia | **KULTURA** Tokarczuk: Literatura jest ogromną przestrzenią wspólnoty | **KLIMAT** Woda nową ropą | **ZARZĄDZANIE** Meyer: Przyjmujemy futrzaste mamuty

IMPACT REACH



impact
BUCHAREST

17-18 SEP 2025

impact'26
POZNAN / WIELKOPOLSKA

13-14 MAY 2026

SPIS TREŚCI

- 2 **PETER POMERANTSEV** Minęły czasy demokratycznego dyskursu
- 6 **OLGA TOKARCZUK** Literatura jest ogromną przestrzenią wspólnoty
- 14 **DARON ACEMOGLU** Jakich agentów stworzy branża AI
- 18 **ERIN MEYER** Przyjmujemy futra – ste mamuty
- 22 **SZCZEPAN TWARDOCH** Żyjemy w czasach przesilenia
- 26 **JAKUB KARNOWSKI** Polska – Ukraina – przyszłość w odbudowie

KOSMOS

- 30 **MARTA EWA WACHOWICZ** Powinniśmy być liderem bezpieczeństwa kosmicznego
- 34 **RAFAŁ MODRZEWSKI** Z góry widać wszystko

GREEN ECONOMY

- 36 **Woda cenniejsza niż ropa**
Kasper Kalinowski

MENTAL HEALTH & WELLBEING

- 40 **Czule pokolenie**
Krystyna Romanowska
- 44 **Zmęczeni cywilizacją**
Krystyna Romanowska

ART & CULTURE

- 48 **Sen o dostatku**
Julian Kutyla
- 52 **Anatomia natury**
rozmowa z Irminą Staś

POZNAŃ I WIELKOPOLSKA

- 56 **Wielkopolska odkrywa enoturystykę** Marta Danielewicz
- 60 **Jesień od kuchni**
Marta Ratajczak, Mateusz Spurtacz

CZY SPEŁNI SIĘ NASZ SEN O DOSTATKU

Szczepan Twardoch powiedział, że żyjemy w momencie przesilenia. Niewątpliwie, jesteśmy w epokowym punkcie zmian społecznych, geopolitycznych, technologicznych i klimatycznych. Wszystkie zachodzą równocześnie i wzajemnie się napędzają – tę diagnozę postawiło już wielu myślicieli.

Momenty przesilenia mają to do siebie, że wymagają uważności, zadawania kluczowych pytań i ciągłej aktualizacji wiedzy o stanie świata.

To staramy się robić jako Impact. Jesteśmy dziś „offline media platform”, jak określają nas przyjaciele z Bukaresztu. Organizujemy konferencje, wydajemy książki, z których powstają audiobooki, na scenach gościemy najbardziej opiniotwórcze podcasty. Dzięki magazynowi staliśmy się również „online platform”. Dwa poprzednie wydania Impact Magazine ukazały się z Newsweekiem w nakładzie 110 tys. egzemplarzy, a nasze teksty cieszyły się popularnością także w serwisie online odwiedzanym przez miliony użytkowników. To budujące, że w czasach „otyłości informacyjnej” wartościowe treści znajdują zainteresowanych odbiorców.

W tym numerze na naszych łamach gościemy dwoje noblistów – Olę Tokarczuk i Daron Acemoglu. Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii w 2024 roku – mówca Impact’26 – pisze, że od podejmowania trudnych decyzji uwolni nas niebawem agenci AI. Odpowiednio wytrenowani, nakarmieni danymi i pozbawieni emocji – czy nie lepiej od nas poprowadzą choćby biznesowe negocjacje? Acemoglu wyjaśnia, dlaczego to jednak my, ludzie, musimy stać za sterem. Ale pytanie – jakich agentów stworzy branża AI – pozostaje otwarte.

Olga Tokarczuk w rozmowie z Katarzyną Kasią dzieli się myślą, że poczucie wspólnotowości jest tym, czego nam dziś najbardziej potrzeba. Tworzenie wspólnot ma nam pomóc przetrwać w niestabilnych czasach. Media społecznościowe są atrapą prawdziwych więzi, co więcej – wzmacniają polaryzację.

Żyjemy w czasach wojny informacyjnej, a jej nowym frontem jest TikTok, mówi Peter Pomerantsev, który w rozmowie z Justyną Kopińską próbuje odpowiedzieć na kluczowe pytanie: w jaki sposób możemy wygrać tę wojnę w czasach, kiedy ludzi nie interesuje prawda?

Skoro na Ziemi mamy tyle wyzwań, czy powinniśmy ruszać na podbój kosmosu? Marta Ewa Wachowicz, prezes Polskiej Agencji Kosmicznej uważa, że to konieczne. Przemysł kosmiczny zapewnia nam dostęp do usług kluczowych dla stabilności państw i regionów.

Nie zapominajmy, że technologie mają także swoją jasną stronę. I chcąc na koniec zmierzyć się z najważniejszym pytaniem: czy mamy szansę spełnić nasz sen o dostatku, odpowiedź brzmi – tak. Ezra Klein i Derek Thompson, autorzy bestsellera „Dostatek”, są zdania, że dużą część wynalazków potrzebnych, by się urzeczywistnił, już potrafimy zbudować, mimo że... jeszcze tego nie robimy.

Choć czasy przesilenia potrafią zachwiać najpewniejszym kursem, to właśnie wtedy mogą zrodzić się najodważniejsze wizje i zawiązać najważniejsze sojusze. Wyruszamy więc w podróż po odpowiedzi. Zaczynamy we wrześniu w Bukareszcie, by w maju w Poznaniu spotkać się znów i razem wyznaczyć właściwy kierunek.

Krystian Wołak
pomysłodawca i twórca Impactu

impact MAGAZINE

WYDAWCA: Impact Foundation, ul. Stawki 3a, lok. 47, 00-193 Warszawa

REDAKTORKA NACZELNA: Anna Frątczak

DYREKTORKA ARTYSTYCZNA: Joanna Dobkowska/IBelieveInPaper

PROJEKT MAKIETY: Joanna Dobkowska/IBelieveInPaper

AUTORKI I AUTORZY: Justyna Kopińska, Sławomir Sierakowski, Daron Acemoglu, Kasper Kalinowski, Katarzyna Kasia, Marcin Żyła,

Marcin Haber / Wirtualna Polska, Krystyna Romanowska, Julian Kutyla, Michał Wąsowski / Money.pl, Jerzy Wójcik, Marta Danielewicz / Gazeta Wyborcza Poznań, Magdalena Ratajczak & Mateusz Spurtacz

ILUSTRACJE: Renata Miklewska, Ljubisa Bojic

WSPÓŁPRACA REDAKTORSKA: Anna Janicka, Julian Kutyla

WSPÓŁPRACA FOTOEDYTORSKA: Rafał Chmielewski

KOREKTA: Małgorzata Koniarska

DTP: SETMEDIA Marek Adamski

MINĘŁY CZASY DEMOKRATYCZNEGO DYSKURSU

TikTok stał się nowym frontem wojny informacyjnej, a tradycyjne media przypominają średniowiecznych mnichów podtrzymujących ducha demokracji w mrocznych wiekach dezinformacji. Czy w epoce chaosu jest jeszcze przestrzeń na otwarty, obywatelski dialog?

PETER POMERANTSEV

w rozmowie
z Justyną Kopińską

Znasz Rosję od wewnątrz. Czy rosyjskie społeczeństwo jest zakładnikiem propagandy, czy jej współtwórcą?

To obecnie kluczowe pytanie, pozwalające zrozumieć sytuację geopolityczną. Z jednej strony komunikaty mogą zmieniać umysły ludzi. Mówię o niezwykle złożonej grze, w której obywatele dostosowują się do przekazu przywódców. Niekiedy robią to z potrzeby przynależności, innym razem ze strachu. Bycie częścią projektu propagandowego może również wpływać na poczucie bezpieczeństwa obywateli. Z drugiej strony większość współczesnych badań komunikacji pokazuje, że to zależność dwukierunkowa. Działanie propagandy jest równie istotne, co działanie jego widowni. W mojej opinii odbiorcy nie pozostają bierni i są współodpowiedzialni za propagandowe treści. Moja matka była dokumentalistką. Przeprowadzała wywiady na temat gulagu z wieloma Rosjanami, także członkami KGB, i zawsze pytała: „Czy wiedziałeś, co się dzieje?”. Na początku słyszała mnóstwo wymówek. Ale gdy pytała wystarczająco dużo razy, okazywało się, że wszyscy wiedzieli. To uniwersalne doświadczenie, które dotyczy lat 60., 70. i 80. Wyrażenie „pranie mózgu” to iluzja, bo komunikacja działa w obie strony.

Czy Ukraina może skutecznie odpierać rosyjską propagandę?

Atak na Ukrainę wynikał z faktu, że oferowała ona demokratyczną alternatywę dla Rosji. Ukraińcy pokazali, że można mieć podobną historię, a wybierać pluralizm i niezależność. Putin wiedział, że jego czas na propagandowe przyciąganie Ukraińców się kończy. W USA brakuje świadomości, że celem Kremla jest zniszczenie prawa Ukrainy do istnienia jako niepodległego państwa. Mam wrażenie, że odrębność Ukrainy uległa rozmyciu i coraz mocniej dominuje rosyjska wizja tego konfliktu. Panuje całkowite niezrozumienie tego, kim jest wróg i jakie są jego cele. W kontekście kampanii propagandowej w Rosji Ukraina skupia się na zachęcaniu Rosjan do dezercji i unikaniu poboru. Nie sądzę, by Ukraińcy mogli zdziałać cokolwiek więcej.

ILUSTRACJA:
Renata Miklewska

Opowieści o Buczy, Mariupolu, Kramatorsku nie dotrą do rosyjskiego społeczeństwa?

W Rosji nie ma żadnego zainteresowania zbrodniami na Ukraincach. Oczywiście poza antyrządową grupą dysydentów, stanowiącą obecnie kilka procent populacji. Na Rosjan nie działają także fotografie umierających współobywateli. Na poparcie dla wojny negatywny wpływ ma jedynie wzrost przestępczości w Rosji, bo to coś, co zaburza porządek. W ich oczach to kraje demokratyczne są nieuporządkowane i wypełnione chaosem. Rosjanie pragną struktury i organizacji. Zatem wszelkie sygnały wskazujące na to, że porządek cierpi, zmniejszają poparcie dla Kremla. Informacje o cierpieniu Ukraińców nie mają zasadniczego wpływu na stosunek do wojny.

Czy możemy dziś czerpać jakąś lekcję z tego, jak udało się rozbroić nazistowską propagandę po zakończeniu II wojny światowej?

Nazistowska propaganda została zdemontowana, ponieważ nastąpiło całkowite zwycięstwo nad nazistami. Wcześniej ta propaganda umożliwiła Holocaust. To świadomość tego faktu doprowadziła do realnej przemiany społecznej po II wojnie światowej. Jednak ten przykład nie przyda nam się na nic, ponieważ istnieje mała szansa, że Rosja się zmieni. Nie wierzę, by Rosjanie kiedykolwiek uznali się za pokonanych. Możemy natomiast wyciągać lekcje ze sposobów komunikacji tamtych czasów. Naziści podchodzili do komunikacji jak do teatru – ludzie mieli stać się częścią makabrycznego kabaretu. Żołnierze otrzymywali od przełożonych tanie aparaty fotograficzne, które zabierali ze sobą na front. Zachęcano ich do robienia zdjęć. Czytamy wspomnienia alianckich żołnierzy, którzy nie rozumieli tego, że przeciwnicy wszędzie robią sobie zdjęcia.

Żołnierze otrzymali nawet specjalne dzienniki do wklejania fotografii. Wysyłali je do domów, a bliscy gromadzili się na ich wspólne oglądanie. To był Facebook tamtych czasów. Obywatele stawali się częścią wspólnego projektu tożsamościowego. Tożsamość budowały także marsze, indywidualny wkład finansowy dla armii, język. Dla mnie szczególnie fascynujące jest to, że naziści rozumieli współczesne mechanizmy mediów społecznościowych. Sukces propagandyzisty leży w zrozumieniu ludzi i dopasowaniu



PETER POMERANTSEV

brytyjski dziennikarz, dokumentalista i producent filmowy. Urodził się w ZSRR. Doświadczenie zawodowe zdobywał w Wielkiej Brytanii i Rosji. Jest współpracownikiem „London Review of Books”. Publikował w „Financial Times”, „Wall Street Journal”, „Foreign Policy”, „New Yorker”, „Newsweeku” i „Atlantic Monthly”. Laureat Nagrody im. Michaela Ondaatjego. Nominiowany do Nagrody im. Samuela Johnsona, Nagrody im. Gordona Burna oraz Nagrody Literackiej Domu Puszkina.

Autor bestsellerowych książek „Jądro dziwności. Nowa Rosja”, „To nie jest propaganda. Przygody na wojnie z rzeczywistością”, „Propagandysta, który przeżył Hitlera”.

waniu do nich przekazu. II wojna światowa pokazała, jak aktywować obywateli do wspierania okrucieństwa. Dzięki mediom społecznościowym te mechanizmy stały się prostsze.

Fala polaryzacji rośnie. Co, Twoim zdaniem, napędza ją dziś najmocniej? Algorytmy, samotność, frustracja ekonomiczna, brak wspólnego języka... A może każdy z tych aspektów po trochu?

Specjaliści od ekonomii odpowiedzą, że gospodarka, badacze komunikacji, że media. Według mnie obecnie kluczowym czynnikiem polaryzacji jest tworzenie własnej rzeczywistości. Ludzie żyją w stworzonych przez siebie bańkach. Ta tendencja zostanie spotęgowana, gdy AI pozna nasze marzenia i fantazje. Obserwujemy to już na przykładzie pornografii. Sztuczna inteligencja tworzy dla nas idealne fantazje. Wybory polityczne działają w oparciu o podobne podstawy – nasze pragnienia. Największym problemem jest obecnie brak kontroli nad algorytmami. Pytam ekspertów: „W jaki sposób TikTok wybiera treści?”. „Na czym opiera się ten wybór?”. Nie mają pojęcia. Mamy do czynienia z treściami, których logiki nie rozumieją nawet wybitni specjaliści technologii. Jak zatem możemy je analizować?

Czy jest kraj, który dobrze radzi sobie z kontrolą tych procesów?

Znacznie łatwiej wymienić państwa, które radzą sobie najgorzej. Stany Zjednoczone mają fundamentalny problem z faktami. Ludzie zatracili się w wirtualnych bańkach. Czy można pozostać demokracją, gdy obywatele żyją w tak szalenie odmiennych rzeczywistościach? Mówię to z bólem, bo przecież Ameryka była kiedyś wzorem dla innych demokracji. Najlepiej z polaryzacją radzą sobie Tajwan i Estonia. Ale dla tych krajów to kwestia przetrwania. Tajwańczycy i Estończycy wiedzą, że Rosja i Chiny stosują polaryzację jako narzędzie. Przewyciężenie dezinformacji stało się zatem kwestią bezpieczeństwa narodowego. Tajwańczycy eksperymentowali już z rygorystycznymi przepisami dotyczącymi chińskich firm technologicznych. Wprowadzają różnorodne formy demokratyzacji debat. Nie chodzi im o wprowadzanie harmonii społecznej, lecz upewnianie się, że ludzie nadal mogą podejmować wspólne decyzje. Tajwan i Estonia są na razie na drodze eksperymentów, które inne kraje powinny bacznie obserwować.

Są jeszcze indywidualne sposoby przewyciężania polaryzacji. Czy Ty masz osobę, ideę, wartość, która stanowi kotwicę?

Czasy demokratycznego dyskursu, w których wspólnie debatujemy nad ideami i faktami, minęły. Nie ma już przestrzeni pluralizmu, o której kiedyś pisał niemiecki filozof Jürgen Habermas. Żyjemy w czasach wojny informacyjnej. W Stanach Zjednoczonych jedna ze stron prowadzi tę wojnę niezwykle skutecznie, a druga usiłuje zrozumieć, co się w ogóle dzieje. TikTok już stał się przestrzenią polityczną. Krytykowaliśmy inne platformy. Tłumaczyliśmy, że nie mają jasnych kryteriów działania i uzależniają społeczeństwa, a na ich tle TikTok jest po prostu „czarną dziurą”. Nigdy nie wiesz, czy przedstawiane treści są „wpadkami”, czy wyborami politycznymi. TikTok nie porządkuje świata, tylko zaciera drogę naszej świadomości. Jeśli nie podejmiemy rękawicy, to liberalni demokraci będą przegrywać wybory za wyborami, zastanawiając się, dlaczego cały świat nie jest taki, jak my. Mówię to z wielkim smutkiem, ale moim zdaniem nadszedł czas na wojnę partyzancką. Nie ma sensu tworzyć idealnej sfery publicznej w sytuacji, gdy reszta ludzi jest zanurzona w kłamstwach i nienawiści. Wcześniej mieliśmy wiele okazji, by uratować demokrację w pokojowy sposób. Nie podjęto adekwatnych działań. W tej chwili mówimy już o tym, czy liberalna demokracja w XXI wieku będzie w stanie przetrwać w starciu z autokracjami. Coraz częściej myślę, że nie.

DZIENNIKARZE MÓWIĄ DO POLITYKÓW: „UJAWNIMY PRAWDĘ, KTÓRĄ SKRYWACIE”, A ONI JUŻ PO PROSTU NIE WIERZĄ W ŻADNĄ PRAWDĘ.

Czy możliwe jest zwycięstwo w tej wojnie bez manipulacji?

Nie musisz stosować identycznej taktyki, co druga strona. Konieczne jest natomiast nastawienie na efekty. Obecne regulacje wzmacniają stronę niedemokratyczną. TikTok czy Telegram funkcjonują w stanie chaosu. Sfera demokratyczna opiera się na przejrzystości i jasności. Obecnie jest pokryta gęstą mgłą.

Potrzebujemy technologii, która nie jest przeznaczona do wykorzystywania ludzi, tylko buduje wzajemne zrozumienie i poszerza perspektywy. Potrzebujemy ekspertów, którzy każdego dnia analizują, jak dotrzeć do obywateli słuchających teorii spiskowych.

Kolejny aspekt to rozbijanie kanałów dezinformacji strony niedemokratycznej. Teraz robimy rzeczy szlachetne i naiwne. Bo nadal wierzymy, że fakty przemówią do obywateli. Tej rzeczywistości już nie ma! Żeby skutecznie walczyć z kanałami dezinformacji, musimy opuścić liberalną bańkę. Obywatele zwracają się ku autokratom, gdy czują wyższość i pogardę drugiej strony.

Jakie są inne przyczyny upadku demokracji?

To pytanie wykracza poza samą propagandę. Moim zdaniem wszystko przyspieszyło – technologia, gospodarka, media – a ludzie nie odnajdują się w tak intensywniej dynamice. Wielu obywateli już nie wie, jaki jest ich status czy społeczna rola. To rodzi zagubienie. W tym chaosie ludzie zwracają się ku przywódcom dającym im silne poczucie tożsamości.

Druga rzecz to tabu wokół nienawiści i okrucieństwa. Uważaliśmy, że po II wojnie światowej nie należy wyrażać pewnych emocji głośno. To tabu zostało już zniesione. Wielu ludzi pokazuje najgorszą część siebie. Przestali już ją utożsamiać z hasłami prowadzącymi wprost do obozów i okrucieństwa. Pragną, by lider był emanacją także ich mrocznej strony.

Czy są silni liderzy, przeciwdziałający polaryzacji?

„Przywódcy – siłacze” korzystają na społecznej polaryzacji. Zdają się mówić: „Pozwól mi być twoją zemstą, zrobię krzywdę twoim wrogom za ciebie”. Podejrzewam, że żaden polityk składający taką ofertę obywatelom nie będzie człowiekiem demokracji.

Potrzebujemy charyzmatycznych liderów jak Martin Luther King, którzy zachęcają ludzi do sprawczości i działania na rzecz lokalnej sprawiedliwości. Kojarzę ich nie z siłą, lecz odwagą do dzielenia się narzędziami siły.

W epoce deepfake'ów, TikToka i zanikającej zdolności koncentracji, jaką rolę pełni dziś dziennikarstwo z misją?

Mamy wysokiej klasy gazety i media, które kultywują nadzieję na demokrację. Niestety, robią to dla coraz mniejszej bańki. Klasyczne, demokratyczne media przypominają średniowiecznych mnichów. Podtrzymują ducha liberalnej demokracji w naszych mrocznych wiekach dezinformacji. Wielu dziennikarzy, którzy tam pracują, to osoby szlachetne i prawe. Są ważni, ale nie mają już społecznego znaczenia. Moim zdaniem niektórzy ludzie mediów będą zmuszeni działać na rzecz demokracji w mniej akceptowalny sposób.

Kiedyś dziennikarze rozliczali polityków z kłamstw i stali po stronie ludzi. A teraz patrzą, jak całe pokolenie polityków ma w nosie prawdę, a wyborcy i tak ich kochają. W filmie Polańskiego „Nieustraszeni pogromcy wampirów” bohaterka pokazuje wampirowi krzyż, a on odpowiada: „Już nie wierzę w Chrystusa”. Dziennikarze mówią do polityków: „Ujawnimy prawdę, którą skrywacie”, a oni już po prostu nie wierzą w żadną prawdę.

Obecnie bierzemy udział w wyścigu, kto lepiej zrozumie obywateli. Czy będą to autorytarni propagandziści, czy nasza strona? Skoro ludzie nie podążają już za treściami, które my uważamy za rzetelne czy właściwe, trzeba ich zrozumieć i dać im ofertę, która będzie odpowiednia dla ich wartości i aspiracji. Propagandziści są jak przywódcy kultu. Odkrywają ludzkie słabości i wykorzystują je, by zrobić z obywateli niewolników. Nasze zadanie nie polega na byciu obiektem kultu, tylko terapeutą. Musimy zrozumieć, dlaczego obywatele czują się urażeni, co im przeszkadza, jakie mają traumy, smutki i nadzieje. A potem stworzyć demokratyczną narrację, która tę nadzieję im przywróci. ■

JUSTYNA KOPÍŃSKA

wielokrotnie nagradzana dziennikarka, socjolożka, autorka sześciu bestsellerowych książek. Jako pierwsza dziennikarka z Polski otrzymała European Press Prize w kategorii „Distinguished Writing Award”. Jest laureatką Nagrody Dziennikarskiej Amnesty International – Pióro Nadziei. Otrzymała Nagrodę PAP im. Ryszarda Kapuścińskiego, wyróżnienie Radia Żet im. Andrzeja Woyciechowskiego, Grand Press, Nagrodę „Newsweeka” im. Teresy Torańskiej. Dwukrotnie laureatka Mediatorów.

SERIA IMPACT BOOKS

PETER POMERANTSEV

„Propagandysta, który przechrzył Hitlera”, Wydawnictwo Krytyki Politycznej 2025



LITERATURA JEST OGROMNĄ PRZESTRZENIĄ WSPÓLNOTY

Kiedy mówię „wspólnota”, mam na myśli działanie na rzecz innych, słabszych, wolontariat, tworzenie wspólnot lokalnych. Wzięcie odpowiedzialności za tych, którzy są obok nas. Nigdy chyba w czasie ostatnich kilkudziesięciu lat ta potrzeba nie wydawała mi się tak silna jak teraz.

OLGA TOKARCZUK

w rozmowie
z Katarzyną Kasią

Przede wszystkim, Olgo, chciałam zacząć od wielkich gratulacji, bo 25 marca, jako pierwsza polska pisarka, otrzymałaś tytuł doktora honoris causa paryskiej Sorbony. Tak, było to przeżycie. Byłam pierwszą polską kobietą artystką, ale także pierwszą od bardzo dawna osobą z Polski.

Również pierwszą osobą piszącą, autorką, która dostała tego zaszczytu. Słuchałam Twojego wystąpienia po tym, jak odebrałaś ten tytuł. Powiedziałaś tak: „Znaleźliśmy się w bardzo niepewnym, może nawet niebezpiecznym okresie historii świata. Stary porządek polityczny wydaje się rozsyptywać w pył, podczas gdy nowy, powstający na naszych oczach, nabiera niepokojących kształtów. I w tym, jakich kształtów nabiera, ogromną rolę odgrywają takie zjawiska jak powszechne kłamstwo, dezinformacja, rozszerzające się fake newsy”. Jak w tym zmyślonym świecie, w którym trudno doskrobać się do prawdy, ma funkcjonować literatura, czyli światy wymyślone?

Zadałam sobie pytanie: Czy wymyślając, stwarzając postaci niemające racji bytu w rzeczywistości – kłamię? Jak należy traktować fikcję, jaki jest jej status? Zaskakuje mnie, jak często czytelnicy na spotkaniach autorskich pytają: „Pani Olgo, czy to, co pani napisała, to prawda?”. Żyjemy w morzu opowieści, one nakładają się na siebie, wspólnie ewoluują, uzupełniają się wzajemnie, ale także często sobie zaprzeczają. Powstaje pytanie: komu mamy wierzyć? Niepokoi nas, nie możemy być pewni, która z wersji historii jest nasza. Czy to jest opowieść snuta przez propagandystów, czy kolejne oszustwo internetu, który potrafi przekłamać wszystko? Może dlatego ten brak zaufania wkradł się też do literatury. Często mam wrażenie, że najgorszym, co może nas spotkać, byłaby utrata zaufania do fikcji. A to

Tekst jest zapisem rozmowy,
która odbyła się 15 maja
2025 r. na scenie Impact'25.

OLGA TOKARCZUK | mówczyni IMPACT'25

**OLGA TOKARCZUK**

wybitna polska pisarka, eseistka i autorka scenariuszy, absolwentka psychologii na Uniwersytecie Warszawskim, laureatka Nagrody Nobla w dziedzinie literatury za rok 2018, laureatka The Man Booker International Prize 2018 za powieść „Bieguni”, dwukrotna laureatka Nagrody Literackiej „Nike” za powieść „Bieguni” (2008) oraz „Księgi Jakubowe” (2015). Jest autorką czterech zbiorów opowiadań, dziewięciu powieści, z czego najnowszą jest „Empuzjon” (2022), trzech zbiorów esejów, libretta do opery „ahat ili. Siostra bogów”, a także współautorką dwóch książek graficznych, które powstały we współpracy z ilustratorką Joanną Concejo.

się chyba właśnie dzieje. W mojej prozie usiłuję przekonać czytelników, że walcząc o prawdę, nie możemy zapomnieć o takim szczególnym stanie naszego umysłu, szczególnym trybie działania naszej psychiki, który tworzy fikcję, ale ta fikcja nie jest kłamstwem. Arystoteles uważał, że fikcja – naśladowanie rzeczywistości – jest swoistym rodzajem prawdy, a na pewno nie jest kłamstwem w sensie moralnym. Opiera się na mitach, na doświadczeniach ludzkości, na wielkich i małych narracjach, na baśniach. Toczy się na przykład w snach, poza naszą codzienną świadomością. Towarzyszy nam zawsze i formatuje nasz umysł. To są opowieści-wzorce, które nosimy w umyśle i do nich porównujemy to, czego doświadczamy. Myślę, że jest to podstawowy budulec naszej psychiki. Postulowałabym, żeby literaturę wyłączyć z tych dzisiejszych walk o prawdę i dać jej specjalny status. Status i prawo do posługiwania się wyobraźnią. Od opisu rzeczywistości, od tego, co się dzieje na świecie, są media, zobligowane do pilnowania i wskazywania kłamstwa.

W swoim eseju „Czuły narrator” pisałaś, że ten, kto snuje opowieść, rządzi. Literatura to jest sposób snucia opowieści. Jakie są dzisiejsze opowieści i jak ci się wydaje, czy one przynoszą nam jakąkolwiek nadzieję, czy też są raczej źródłem lęku?

Sądzę, że żyjemy w momencie zwrotnym, bardzo szczególnym, jeżeli chodzi o opowiadanie świata. Fascynuje mnie wielka popularność autofikcji, co może być wyrazem niemożności ogarnięcia świata w jego monstrualnej złożoności. Oparciem staje się „ja” i to „ja” wypowiada się tylko we własnym imieniu i o sobie, tak jakby doszło do jakiejś kulminacji dwudziestowiecznego indywidualizmu. Pojedyncze „ja” staje się soczewką, probierzem, definicją rzeczywistości. Sądzimy, że opowiadając o sobie, opowiadamy też o świecie. I tak zapewne jest.

Ale ten wylew autofikcji często brzmi dla mnie jak kakofonia różnych opowieści, dźwięków, które się nigdzie nie stykają. Dlatego w mowie noblowskiej dopominałam się także o jakąś taką globalną, totalną narrację, która pomoże nam scalić te pojedyncze głosy.

Zwróć uwagę, że głęboki niepokój, jaki nam teraz towarzyszy, skutkuje ożywieniem gatunku science fiction i w ogóle opowieści o przyszłości, z przewagą tych apokaliptycznych. Mam wrażenie, że sci-fi i fantazje o tym, co nadchodzi, najczęściej ożywają w czasach niepewności, wojny, zagrożenia i ustalania się nowego porządku świata. Pamiętamy to z lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, z czasów zimnej wojny. Wtedy fantastyka rozkwitała, gdyż pojawia się w dużej liczbie i zyskuje szczególną popularność głównie wtedy, kiedy ludzie czują niepokój i chcą jak najszybciej wiedzieć jak najwięcej o tym, co się stanie. Science fiction daje bowiem możliwości, uzbrojona w formaty opowiadania o przyszłości, snucia scenariuszy zarówno tych apokaliptycznych, pozwalając się z nimi oswoić, jak i tych pozytywnych. Z radością patrzę, jak dużo autorek i autorów fantastyki odważa się na gest kreacji nowych, często lepszych światów.

Mamy też urodzaj literatury science fiction poświęconej sztucznej inteligencji i pięknie na tym przykładzie widać, jaką funkcję pełni literatura w kulturze człowieka – oswaja nas z tym, co nieznanne, nie ujęte jeszcze w słowa, jeszcze niewypowiedziane. Literatura uświadamia nam, czyli poszerza naszą świadomość zarówno o to, czego się boimy, jak i o to, czego pragniemy. AI jest ogromnym wyzwaniem dla naszej psychiki. Jak mamy ją trakto-

wać? Czy to jest jakiś nowy gatunek życia, czy po prostu zwykłe narzędzie, jakich wiele wymyśliliśmy? A może to rodzaj naszego zewnętrznego, zbiorowego ja? Czy wspiera nas, czy niszczy? Rozwija czy ogranicza?

Oglądałam niedawno niesamowity film pt. „Twórca” („The Creator”). To zrobiona z rozmachem hollywoodzka produkcja opowiadająca o sztucznej inteligencji, która starając się upodobnić do człowieka, nabywa empatii i służy mu w taki najbardziej cudowny, miękki, łagodny sposób. Jest kimś, kto nas zabawia, wspiera, wychowuje. Piękny film, bardzo mnie wzruszył.

W cyklu Marthy Wells „Pamiętniki Mordbota” pojawia się też, ku mojej wielkiej radości, coś w rodzaju czwartoosobowego narratora. To relacja zbuntowanej maszyny, która mówi o sobie w neutrum i przedstawia swoje przygody z punktu widzenia własnego ja! Czytam te książki i uwielbiam ten głos – chyba po raz pierwszy mamy okazję w literaturze usłyszeć niepowtarzalny, z niczym nieporównywalny głos maszyny, która wie o wiele więcej od człowieka, o niebo lepiej sobie radzi w różnych sprawach technologicznych, ale pozostaje w cudowny sposób naiwna i dziecięca. Ciekawe jest to, że „automatycznie” zachowuje się przyzwyczajenie. Tak jakby dobra było na świecie więcej niż zła. To jedna z tych literackich prób otworzenia całkiem nowych przestrzeni poznania, próba nie podjęta wcale przez trudne, filozoficzne dzieła, ale poprzez literaturę popularną i kino mainstreamowe.

A czy myślisz, że jeżeli się nie ma wielkiej władzy nad mediami, swojego X-a czy innej wielkiej platformy, przez którą ludzie się komunikują, to czy w ogóle jest szansa na to, żeby te nowe pieśni, słowa, opowieści, które mogłyby zmienić kształt świata, dotarły tam, gdzie trzeba? Jak to opowiadać?

O tak, one docierają. Ludzie z jakichś powodów ich potrzebują. Te komunikaty, które płyną do nas z mediów: jasne, opowiedziane prostymi zdaniami, przedstawiające pewną wizję świata, te najłatwiejsze do rozpoznania – nie wystarczą. Życie nie wystarczy. Istnieje inny poziom komunikacji, który wyraża pragnienia, lęki, potrzeby w zbiorowym strumieniu informacji,

w którym, chcąc nie chcąc, uczestniczymy. Ten inny poziom to jest właśnie kultura.

Spójrzmy dla przykładu na mody w projektowaniu wnętrz. Od jakichś dziesięciu lat design naszych wnętrz jest bardzo często powiązany z marzeniem o naturalnym środowisku, choćby wzory tapet czy dywanów. Wielkie obrazy zwierząt na ścianach, naturalne materiały. Jakbyśmy chcieli z powrotem, choć trochę, wrócić do pierwotnego środowiska.

Człowiek pozostaje w głębokich relacjach ze światem na różnych poziomach i jest to rodzaj ogromnej przestrzeni wymiany, którą można by nazywać: **n a t u k u l t u r ą**.

Wracając do literatury. Zauważyłam między innymi potrzebę stworzenia „wyższych punktów widzenia”, czyli bardziej panoptrykalnych, globalnych narratorów. Takich, którzy by widzieli więcej i widzieli to, co – jak sądzę – będzie odkryciem następnych lat. Okaze się bowiem, że większość rzeczy, których doświadczamy, jest ze sobą niezwykle powiązanych. Także tych rzeczy, które wykraczają poza horyzont naszej wiedzy i naszych możliwości poznawczych. To już widać w sztuce i wydaje mi się, że za chwilę zaczniemy myśleć w taki sposób również... na przykład na forach ekonomicznych. Nie wiem, jak ten proces przebiegnie, ale uświadomimy sobie, że ten rodzaj powiązania ze sobą różnych procesów jest przemożny i to on nas niejako prowadzi. Jesteśmy w nim głęboko zanurzeni i nie ma z tego wyjścia. Tak po prostu jest.

To by była opowieść o świecie, w którym każdy z nas i każde nasze działanie jest jakąś nieusuwalną częścią czegoś większego, o tym, że jesteśmy zrobieni z atomów pożyczonych na chwilę od kosmosu i potem do tego kosmosu wrócimy. To jest bardzo trudne do przyjęcia, bo w tej autonarracyjnej strukturze każdy marzy o indywidualnej nieśmiertelności. Taka kolektywna sytuacja, w której mielibyśmy się zgodzić na tę atomową całość, może dlatego jest trudna?

Tak, to jest trudne. Można patrzeć na historię człowieka jako na historię wyłaniania się pojedynczego „ja” z całości. Dziś to maksymalnie zindywidualizowane „ja” w sytuacji kryzysu klimatycznego i politycznego samo znalazło się w kryzysie. Takie wysoce autorefleksyjne, kruche, kreatywne, choć wrażliwe „ja” nie działa już w świecie powolnych przemian i powtarzalnych cykli przyrody, które ludzkość tak dobrze знаła. Dziś nasza monadyczność sprawia, że stajemy się zagubieni.

Wracając jeszcze do literatury i tego, jaką ona może mieć rolę w oswojaniu przez nas nowych systemów, modeli i trybów funkcjonowania... Podzielię się doświadczeniem po niedawnej wizycie w Ukrainie. Otóż poziom czytelnictwa powrócił tam już do poziomu przedwojennego i dalej rośnie. W czasie wojny zwiększa się procent osób czytających książki. Okazuje się, że ludzie poddani ogromnemu stresowi czytają więcej, publikuje się mnóstwo literatury, tłumnie są odwiedzane targi książek i spotkania autorskie. Zadałam sobie pytanie: co to znaczy? Czy to jest proste rozładowanie stresu i ucieczka w światy fantastyczne? Czy może to jest zjawisko głębsze, kiedy w sytuacji kompletnie anomicznej, niemoralnej, najistotniejsze jest zadawanie ważnych pytań o naturę świata, o to, na jakich zasadach to wszystko jest oparte?

DR KATARZYNA KASIA

filozofka, publicystka.
Stypendystka Fundacji
Kościuszkowskiej na
Uniwersytecie w Princeton
(USA). Pracuje w Akademii
Sztuk Pięknych w Warsza-
wie na Wydziale Badań
Artystycznych i Studiów
Kuratorskich. Autorka
esejów i książek,
tłumaczka tekstów
włoskich filozofów.
Warszawianka roku 2023,
w 2024 roku wyróżniona
nagrodą im. Mariusza
Waltera w kategorii
osobowość medialna,
Mistrzyni Mowy Polskiej.

Przed wejściem na scenę rozmawialiśmy przez chwilę o Twojej wyprawie do Ukrainy i powiedziałaś, że oni tam zadają najważniejsze pytania. W sytuacji, w której konfrontujesz się z rzeczywistością, która jest potworna, tracisz zainteresowanie drobiazgami i skupiasz się na rzeczach ważnych. O co Cię pytali w Ukrainie?

Padło bardzo dużo pytań związanych z kwestiami etycznymi, o przemoc, o sens w ogóle, o przywiązanie do indywidualnych wartości versus przywiązanie do wartości wspólnoty. Te spotkania były dla mnie wielkim wyzwaniem intelektualnym i emocjonalnym. Zdałam sobie sprawę z tego, że już dawno nie czułam tego stanu, w którym literatura jest ważna właśnie tam, gdzie trwa wojna. W czasach pokoju literatura staje się rozrywką, terenem rywalizacji mód różnego rodzaju, uogólniając: terytorium rzeczy drobnych. Dopiero w sytuacji, kiedy istnienie wspólnoty jest zagrożone, okazuje się, że potrzebujemy, aby ktoś nam opowiedział ten świat. Jeżeli nie ten „tu i teraz”, bo on potrzebuje jeszcze dystansu, to ten, który był przed chwilą, albo może ten, który będzie za chwilę, w przyszłości.

Wiesz, Ty dajesz nam słowa, które z nami zostają i myślałam sobie, przygotowując się do tej rozmowy, o dwóch pojęciach. Z jednej strony o czułości z Twojej mowy noblowskiej, z drugiej strony o literalizmie, pojęciu, którym posłużyłaś się w mowie podczas pogrzebu prof. Marii Janion. Ta czułość, która była wielkim odkryciem i została przywrócona nam w Twojej mowie, mam wrażenie, że teraz jest pojęciem, które się bardzo wytarło. Nagle wszystko stało się czule i mam w sobie żal i tęsknotę za tamtym momentem odkrycia i objawieniem, jakim czułość była. Czy myślisz, że ją się da jednak troszkę nam przywrócić?

Tak. Myślę, że aby to zrobić, należałoby ją jeszcze raz porządnie zdefiniować, bo ona się od siebie i od nas „odkleiła”, stała się jakąś taką powierzchowną czułościowością, a nie o to mi chodziło. Próba ponownej definicji polegałaby na tym, żeby umieścić ją w szerszym kontekście filozoficznym. To jest ta czułość, która w buddyzmie występuje jako karuna, jedna z czterech cnót czy potęg umysłu obok mądrości, dobroci i takiego poczucia równości, czy życia w równości we wspólnocie.

Czułość jest czymś w rodzaju współczucia, ale nie jest jego bierną wersją, jest stanem aktywnym, jest działaniem. To jest uświadomienie sobie, że ty i ja jesteśmy jednością, że różnice są pozorne i w swojej istocie jesteśmy identyczne. Najwyższym natężeniem czułości w tym rozumieniu jest rozpoznanie, że nie ma różnicy między „ja” i „ty”. To brzmi bardzo buddyjsko, ale wydaje mi się, że właśnie w ten sposób najlepiej można to wyjaśnić.

Wtedy czułość stałaby się na powrót agentką radykalnej empatii. Myślałam też o czułości w kontekście Ukrainy i tego, co im tam zawiozłaś. Czy to była czułość właśnie tak rozumiana?

Tak. Czułość jest czymś, co w spotkaniu z drugim człowiekiem powoduje głębokie wzruszenie i poczucie jedności. Mieści się gdzieś w sercu i dąży do zamazania różnic. Na pewno nie jest to relacyjne „pochylenie się” – słowo „pochylenie się” jest okropne – jest spojrzeniem prosto w oczy i z poczuciem jedności, a więc wzajemnej odpowiedzialności za siebie. Czułość jest też wiedzą o wszystkich ograniczeniach, jakim podlegają żyjące istoty – śmierci, choroby, gwałtowności sił wyższych, niewiedzy o przyszłości, fatum urodzenia (czy rodzimy się ludźmi – i jakimi, i gdzie – czy zwierzętami). Kiedy spojrzysz się na drugiego/drugą w ten sposób, powstaje coś na kształt głębo-

OLGA TOKARCZUK
"Empuzjon",
Wydawnictwo
Literackie 2022



kiego porozumienia, głębokiego doświadczenia wspólnoty, może nawet tożsamości – tak właśnie rozumiem czułość.

Teraz chciałabym przejść do tego drugiego słowa, czyli do literalizmu – tak nazwałaś chorobę wyobraźni, która przestaje działać. Pisałaś, że pierwszym objawem jest brak zdolności do rozumienia metafory, potem pauperyzacja poczucia humoru. Towarzyszy jej skłonność do wydawania ostrych, pochopnych sądów, nie toleruje niejednoznaczności, nie rozumie ironii i w końcu powoduje powrót dogmatyzmu i fundamentalizmu. Myślę, że to jest diagnoza tego, co najbardziej bolesne w tak zwanej debacie publicznej, ale też w naszych indywidualnych relacjach. Czy myślisz, że jest jakaś droga wyjścia z tego literalizmu?

Chciałam zaznaczyć, że literalizm, czyli dosłowne „rozumienie wszystkiego”, jest nam bardzo potrzebne, bo nauki ściśle oparte są na dosłowności. Ale w dyskursie społecznym, w relacjach ludzkich i wspólnotowych literalizm może być szkodliwy. Dlatego że nasza psychika nie jest dosłowna. Nasze poznanie zapośredniczamy poprzez wiedzę, wyobraźnię, indywidualne doświadczenia, nasze sny i lęki. Psychika jest niezwykle skomplikowaną, wielowarstwową przestrzenią – właściwie bezgraniczną.

W związku z tym literalizm byłby jakby takim „przekrojem poprzecznym” przez psychikę, gdzie widać tylko proste kształty tego wszystkiego, co tam buzuje. Wydaje mi się, że najlepiej z literalizmem walczą sztuka, edukacja o sztuce, estetyka, poezja, interpretacja obrazu, czyli te wszystkie rzeczy, których można się nauczyć. Nawet ktoś, kto wydaje się „mniej utalentowany do Nieliteralizmu”, może nauczyć się podstaw, tak samo jak się można uczyć empatii.

Przeciwieństwo literalizmu to nie jest jakaś cecha dana nam z góry, więc żeby uchronić świat przed ludźmi, którzy wszystko widzą osobno i w niezwykle płaski sposób, należy czytać, rozmawiać o tym, interpretować. Każde zdarzenie z naszego życia, każda sytuacja może zostać poddana interpretacji. To znaczy, że możemy zapytać o jej sens. Proces interpretacji uczy nas, że widzimy, dostrzegamy coś, a jednocześnie potrafimy w tym czymś zobaczyć zupełnie inne rzeczy i powiązania niż te, które podpowiada mi jeden zmysł. Interpretacja jest cudownym mechanizmem, wehikułem, który nas wybija z literalizmu.

W CZASIE WOJNY ZWIĘKSZA SIĘ PROCENT OSÓB CZYTAJĄCYCH KSIĄŻKI. OKAZUJE SIĘ, ŻE LUDZIE PODDANI OGROMNEMU STRESOWI CZYTAJĄ WIĘCEJ, PUBLIKUJE SIĘ MNÓSTWO LITERATURY, TŁUMNIE ODWIEDZANE SĄ TARGI KSIĄŻEK I SPOTKANIA AUTORSKIE.

Bardzo się ucieszyłam z możliwości prowadzenia tej rozmowy z Tobą, bo mam wrażenie, że jesteśmy w momencie, kiedy rozpaczliwie potrzebujemy nowego słowa. Czegoś, wokół czego moglibyśmy skoncentrować nasze myślenie i nasze emocje. Tak żeby trochę się mniej bać i trochę więcej zrozumieć. Czy masz takie słowo dla nas?

Kasiu, napisałaś o tym do mnie już jakiś czas temu i długo myślałam o tym i nic mi nie przychodziło do głowy. Przejrzałam swoje notatki z ostatniego roku i nie mogłam niczego znaleźć. Pomyślałam nawet, że to jest symptomatyczne, że nie mam takiego słowa, że jest jakiś poznawczy chaos, że wiszę w pustce. Dzisiaj rano, po mocnej kawie przed wyjściem z hotelu, doznałam nagle cudownego wglądu. Wróciło do mnie słowo, które pamiętam jeszcze z bardzo dawnych czasów. Słowo to pamiętam po niemiecku, żeby było dziwniej. Brzmi ono „Gemeinschaftsgefühl”, co znaczy: poczucie przynależności do wspólnoty. To jest pojęcie adlerowskie, a ja bardzo cenię tego nieco zapomnianego psychologa i filozofa. Myślę, że on najtrafniej z tej trójcy słynnych psychologów opisuje nam dzisiejszy świat. Nie Freud, nie Jung, tylko Adler. Poczucie wspólnoty oczywiście funkcjonuje w mowie potocznej, natomiast Adler nadał mu bardzo szczególne psychologiczne znaczenie. Mianowicie twierdził, że zdrowa jednostka musi mieć rozwinięte Gemeinschaftsgefühl, ponieważ brak tego poczucia powoduje neurotyczność, kompensację poprzez dążenie do władzy, narcyzm, chorobą ambicję.

Człowiek jest stworzeniem stadnym i może się rozwijać jako pełna, bogata osobowość tylko w relacjach z innymi.

Pomyślałam sobie, że to poczucie wspólnoty dzisiaj jest szczególnie zagrożone, ponieważ uczestniczymy w różnych sztucznych wspólnotach, takich jak na przykład bańki na Facebooku. Mówi się o „społeczności Facebooka”, ale tak naprawdę to nie jest społeczność według definicji socjologicznych. To jest coś efemerycznego, co się przydarza, ale nie jest kosmosem prawdziwych relacji.

Dzisiaj w dużo większym stopniu niż kiedykolwiek, na przykład w czasach tylko fizycznych relacji z innymi, grozi nam poczucie wyobcowania i sa-

motności. Ja sama traktuję AI jako byt i nawet dzisiaj w ramach ćwiczenia intelektualnego napisałam do niej: „Dziękuję Ci za odpowiedź, ale chyba Cię za bardzo personifikuję”, a ona odpowiedziała mi: „Co za samoświadomość”. Ucieszyło mnie jej poczucie humoru.

Poczucie wspólnoty, tej wspólnoty bliskości z innymi ludźmi, traktuję jak wspólnotę wartości, a nie integrację w ramach jakichś sztucznych, narzuconych pojęć. To jest właśnie ważna część mojego doświadczenia z wizyty w Ukrainie. Zobaczyłam, że oni tam budują wspólnotę opartą na przynależności do tej samej kultury. Dla kogoś, kto przyjeżdża z zewnątrz, jest to uczucie niesamowite. Zagrożenie sprawiło, że oni funkcjonują z pełną odpowiedzialnością za innych. Brakuje mi jeszcze słów, żeby to wyrazić, ale skoro idą ciężkie czasy, to i my powinniśmy pomyśleć o tworzeniu wspólnoty. Kiedy mówię „wspólnota”, mam na myśli działanie na rzecz innych, słabszych, wolontariat, tworzenie wspólnot lokalnych. Wzięcie odpowiedzialności za tych, którzy są obok nas. Nigdy chyba w czasie ostatnich kilkudziesięciu lat ta potrzeba nie wydawała mi się tak silna jak teraz. Czyli Gemeinschaftsgefühl – poczucie współtworzenia i przynależności do szczególnie rozumianej wspólnoty jako nowe słowo.

To jest bardzo piękne słowo i dwie rzeczy mi przychodzą do głowy, kiedy słyszę to pojęcie. Pierwsza to pytanie o fundament dla tej wspólnoty. Pisziesz dużo o micie i zawsze to on leży u podstaw każdej wspólnoty. Te mity są zazwyczaj pełne przemocy, cierpienia. Ja nie wiem, czy w nich zawsze musi być krew, czy też można mieć mit pozytywny. Był taki projekt w Polsce, żeby stworzyć jakiś pozytywny mit założycielski i tak opowiedzieć o roku 1989. Jak myślisz, czy rzeczywiście da się tak założyć wspólnotę?

Ja myślę, i tak rozumiem Adlera, że ta wspólnota nie musi być założona na micie. A tym bardziej na mitach narodowych, Lechu, Czechu i Rusie, albo – co najgorsze – na mitologii krwi i znowu dzisiaj wyraźnej wspólnoty genów albo na opowieściach o grupach społecznych ufundowanych na zamordowaniu ojca, podbiciu terytorium wroga, spaleniu jego domów i gwałceniu kobiet. Ja myślę o czymś takim jak wspólnota losu. O tym, że znaleźliśmy się z powodu różnych okoliczności w tym samym miejscu, że obchodzą nas te same sprawy, że lubimy się ze sobą porozumiewać.

O tym, że podobnie widzimy przyszłość i zastanawiamy się, co nas łączy. Wspólnota losu nie może nikogo wykluczać. Uczy nas, że przecież mogło się tak wydarzyć, że bylibyśmy na miejscu tych drugich, a oni na naszym.

Drugą rzeczą, która przychodzi mi do głowy, jest moja wizyta na wystawie poświęconej zespołowi Rolling Stones. Tam była taka mapa świata, na której wyświetlały się miejsca, w których Stonesi dawali koncerty – od niewielkich miejscowości po gigantyczne stadiony. Na koniec było podliczone, że koncerty Stonesów w trakcie ich kariery obejrzało 36 milionów ludzi. Właściwie tyle, ile mieszka w Polsce. Jaki to byłby fajny kraj, gdyby wszyscy byli na Stonesach. Pomyślałam, że może ta wspólnota, o którą chodzi, jest w muzyce, w literaturze. Może dlatego Ukraińcy tak dużo teraz czytają – szukają czegoś, co ich połączy, co nie będzie związane wyłącznie z bieżącą polityką czy doraźnym, traumatycznym doświadczeniem, ale czegoś, co sięga głębiej.

To jest dobry pomysł. A teraz jeszcze pomyślałam, że to poczucie wspólnoty jest jakby konsekwencją czułości, nie sądzisz? Bo jeżeli z taką czułością, o której mówiliśmy przed chwilą, wejdiesz w kontakt z drugim człowiekiem, to zobaczysz, że jest to poruszające, zrozumiesz, że jesteśmy w tej samej kondycji: śmiertelni, słabi, krusi, że zagrożenia klimatyczne albo wojenne są powszechne. Wspólna kondycja też może być fundamentem wspólnoty.

Myślę, że tak i tu się pojawia taka kategoria, którą stworzył Gianni Vattimo, pisząc o optymizmie apokaliptycznym, czyli o tym, że wobec apokalipsy, z którą się jakoś na co dzień konfrontujemy, możemy zachować najgłębszy rodzaj optymizmu. Wynika on z tego, o czym mówisz, z poczucia, że nikt z nas nie jest w tym sam.

Na początku nie mogłam zrozumieć tego sformułowania, a potem nagle pojęłam, że to nie jest łagodna zgoda na zniszczenie, tylko koncepcja, która cały czas nam mówi, że warto działać. To mi przypomina piękną przypowieść o żabach, która w jakimś sensie kieruje moim życiem, co jest ważne w sytuacji, kiedy pisze się książkę przez na przykład osiem lat i trzeba zachować jakiś optymizm w tym wszystkim. Wpadły dwie żaby do garnka ze śmietaną. Obie wiedziały, że sprawa nie wygląda dobrze. Pierwsza mówi: „Nie no, stara, zobacz, jakie tutaj są ściany pionowe, w życiu nie wyjdziemy stąd, nie ma żadnych szans, szkoda się męczyć”. No i się utopiła. A ta druga mówi: „Rzeczywiście, sytuacja jest poważna, ale muszę się bronić, przecież nie pójde na dno od razu, co za wstyd utopić się w śmietanie”. I tak waliła tymi łapkami, tak się ruszała, aż w końcu ubiła tę śmietanę na masło i po tym maśle wyszła z garnka. To musiała być właśnie apokaliptyczna optymistka.

Pisałaś, że to, co wyobrażone, jest pierwszym stopniem istnienia. Może to jest tak, że trzeba nam więcej takich opowieści o dzielnej żabie, żeby właśnie to zaistniało. Pamiętasz tę wielką wspólnototwórczą literaturę polską, może takich opowieści nam trzeba?

Literatura jest ogromną przestrzenią wspólnoty. To jest niezwykle i bardzo często tego doświadczam. Na nasz Festiwal Góry Literatury przyjechała w zeszłym roku grupka Chińczyków, którzy okazali się czytani we wszystkich moich książkach. Na jakimś wyjeździe spotkałam też Saudyjki, a właściwie tylko ich oczy, czytające „Prowadź swój pług przez kości umarłych”, które mówiły mi, jaka cudowna jest Janina Duszejko. To są wzru-

szające momenty, które powodują, że to, co jest napisane w jakimś języku, w jakiejś jednej kulturze, nagle dostaje niesamowitej energii, przelatuje, nie przejmując się żadnymi granicami i trafia do innych ludzi. Jestem dumna i szczęśliwa, że się tak dzieje. Książki są zdecydowanie ważniejsze niż autorki i autorki. W jakimś sensie jesteśmy pretekstem, żeby książki się pojawiły, ponieważ ludzkość komunikuje się swoimi opowieściami.

To są te dobrze rozumiane wspólnoty, które są zupełnie czym innym niż te krwawo ufundowane, wspólnoty narodowe na przykład. Nagle się okazuje, że w ogóle taka kategoria jak granica nie ma sensu, bo jest tylko granicą języka, a ta może zostać dosyć łatwo pokonana. Pytanie, jak to zrobić, żeby opowieści przechodziły przez granice, żeby one były tym, co nas przez nie przeprowadza. Pisać z czułością? I wracamy do punktu wyjścia.

Wydaje mi się, że to jest to rozumienie czułości, które mówi, że jeżeli piszę o sobie i opowiadam swój świat, to z dużym prawdopodobieństwem gdzie indziej są ludzie, którzy podobnie to odbierają. Nie różnimy się od siebie tak bardzo, jak nam się wydaje. Jeżeli się próbuje opowiedzieć swój świat w taki głęboki, wyrafinowany sposób, a lubię taką definicję literatury, że jest to najbardziej wyrafinowany sposób komunikacji międzyludzkiej, to ona wchodzi na tak ukryte poziomy psychiki, gdzie możliwe jest nawiązanie bezpośredniej relacji z psychiką drugiego człowieka. Wydaje mi się, że na tym polega przeżywanie opowieści w literaturze. Jeżeli myślę o literaturze, to myślę bardziej o obrazach i opowieści niż o strukturze i formie języka.

Za dobrą literaturę, dobre kino, dobry spektakl uznaję to, co mnie zmienia na lepsze. Dobra książka to taka, z której wychodzę większa, bardziej refleksyjna, skupiona i po prostu jestem lepszym człowiekiem.

Poczucie wspólnoty to jest także poczucie przynależności, kwestia tego, że nasza tożsamość przestaje być indywidualna. W mojej ukochanej Twojej książce, czyli w „Biegunach”, pokazujesz te miejsca, gdzie rzeczy się ze sobą spotykają i są takie same, chociaż z pozoru bardzo różne. Czy to jest może ten zabieg, którego częściej powinniśmy dokonywać? Szukanie tych miejsc?

Tak, może to przyjąć formę jakiejś nowej globalnej edukacji czy nawet medytacji – uświadamianie sobie nie tylko tego, jak wiele nas łączy, ale w jak wielkim stopniu od siebie zależymy i na siebie wpływamy. Nie tylko my, ludzie, ale wszyscy mieszkańcy planety. Dla mnie to stało się ostatnio prawdziwie obsesją, wszędzie widzę te związki i przeczuwam całość, jaka się z tego układa. Staram się pracować nad tą intuicją literacko.

Bardzo liczę, że Ci się uda i że już niedługo będziemy czytać i to będzie ważny krok w budowaniu naszego poczucia wspólnoty, które, tutaj się zgadzam w stu procentach z Tobą, jest warunkiem naszego przetrwania. To już nie jest tylko jakieś takie piękno-duchowskie pragnienie, tylko my naprawdę inaczej nie damy rady.

Wyłonienie się takiej wspólnoty opartej na współodczuwaniu, współodpowiedzialności i dążenia ku dobru dopiero majaczy na horyzoncie. Strasznie boimy się patosu, zachodnia kultura zwraca nas ku konkretności, pragmatyzmowi. Przez swoje życie obserwuję zmianę, którą w naszej psychice zaimplementował neoliberalizm – wszystko się musi „opłacać”, ciągle coś musimy „ugrywać” dla siebie, wszystko musi „przynosić zysk”. Lecz tym samym tragizm ludzkiego pojedynczego istnienia wcale nie zniknął, a może nawet jeszcze się pogłębił. ■

Daron Acemoglu – mistrz niewygodnych pytań

Jego współpracownicy twierdzą, że „pisze szybciej, niż pozostali są w stanie przyswoić wyniki jego badań”. Jeszcze inni żartują, że ogrom jego dorobku da się wytłumaczyć wyłącznie istnieniem brata bliźniaka. Daron Acemoglu, ekonomista nagrodzony w 2024 roku Nagrodą Nobla, będzie mówcą Impact'26.

TEKST: Kasper Kalinowski

W pracy naukowej kieruje się zasadą „swing for the fences”, czyli „mierz wysoko”. Całymi godzinami analizuje źródła historyczne i dane statystyczne, poszukując prawidłowości, których nikt inny nie jest w stanie dostrzec. Tempo jego pracy i liczne zainteresowania sprawiają, że ci, którzy go znają, zastanawiają się, czy w ogóle odpoczywa. Po godzinach równie chętnie zgłębia historię religii i dzieje starożytnych cywilizacji, co prace o nowych technologiach. W tym drugim przypadku sam jest cenionym felietonistą – bycie jednym z najczęściej cytowanych ekonomistów na świecie nie przeszkadza mu w regularnym publikowaniu esejów na łamach „Project Syndicate”. O jego energii wiele mówi jeden z wywiadów. Pod koniec długiej rozmowy Acemoglu wydawał się wyraźnie zmęczony. Jednak gdy padło pytanie o Arabską Wiosnę, ożywił się i wygłosił pełną pasji, złożoną analizę sytuacji. Poprosił dziennikarza, aby ten nie wycinał tej części spotkania.

COFNIJMY SIĘ O KILKASET LAT

Talent ekonomisty został dostrzeżony wcześniej. Christopher Pissarides, promotor jego pracy

doktorskiej (również laureat Nagrody Nobla), stwierdził, że była to „najlepsza praca doktorska, jaką kiedykolwiek oceniał – oryginalna, pełna ważnych idei i obszerna, ale pozbawiona zbędnych treści”.

Od tego czasu Acemoglu nie zwalnia tempa. Pracę na MIT rozpoczął w wieku 26 lat i do tej pory wypromował już ponad 60 doktorantów.

Na co dzień współpracuje z ekonomistami, historykami i politologami, swobodnie przekraczając granice między dziedzinami. O jego wyjątkowo szerokich horyzontach i interdyscyplinarnym spojrzeniu na kwestie ekonomiczne świadczy wieloletnia współpraca z Jamesem Robinsonem. To duet, który Francis Fukuyama określił mianem „dwóch czołowych światowych ekspertów w dziedzinie rozwoju”.

Wszystko zaczęło się w latach 90., kiedy obaj kwestionowali popularne wówczas geograficzne wyjaśnienia sukcesu gospodarczego. W 1997 roku na konferencji w Bostonie, słuchając prezentacji tłumaczącej zacofanie ekonomiczne Haiti danymi z ostatnich 20 lat, Acemoglu i Robinson uznali to za „szaleństwo”. Aby wyjaśnić przyczyny, zaproponowali... cofnięcie się o kilkaset lat.

DARON ACEMOGLU | mówca IMPACT'26

Dlatego tak trudno o chwytliwe uproszczenie tematyki jego prac. Acemoglu analizuje nierówności, bezrobocie, zmiany klimatyczne, stagnację płac, teorię gier, rolę własności intelektualnej czy innowacje.

Być może tym, co łączy je wszystkie, jest człowiek w świecie nowych technologii i nierówności.

FABRYKA PRZYSZŁOŚCI, A W NIEJ...

Pytany o konsekwencje automatyzacji i sztucznej inteligencji, często przywołuje gorzki żart o fabryce przyszłości, która składa się z maszyny, jednego człowieka i jednego psa. Człowiek karmi psa, a pies pilnuje, aby człowiek nie dotykał maszyn.

W takiej wizji w pełni zautomatyzowanej gospodarki wydajność może wzrosnąć, ale – jak ostrzega Acemoglu – nie mamy żadnych gwarancji, że właściciele kapitału podzielą się zyskami.

Wspomniane już felietony publikowane na łamach „Project Syndicate” to zresztą regularny zimny prysznic dla naiwnych technoentuzjastów. Acemoglu nie neguje oczywiście potencjału nowych technologii, ale jego zdaniem ich wdrażanie zbyt często prowadzi do zubożenia niektórych grup społecznych.

TRZY POWODY WYJĄTKOWOŚCI

Zdaniem Toma Clarka, dziennikarza „Prospect Magazine”, istnieją co najmniej trzy powody, dla których praca naukowa Acemoglu jest bardziej przełomowa, niż się wydaje.

Po pierwsze, to wspomniana już wizja świata, która pozostaje sprzeczna z popularnym „techno optymizmem”. Jego prace podważają głęboko zakorzenione przekonania kształtujące debatę publiczną. Chodzi o ślepą wiarę w mityczny „postęp”, który nawet jeśli napotka po drodze przeszkody, ostatecznie przyniesie nam wszystkim bogactwo. To teza, która przewija się we wszystkich pracach noblisty. Acemoglu często podkreśla, że technologii i rynków nie wolno traktować jak sił natury.

Drugą nowatorską cechą myśli Acemoglu jest przekonanie, że wspólnie dysponujemy wieloma możliwościami zmiany obowiązującego porządku świata. To rzucenie rękawicy założeniu o zbawczej roli wolnego rynku, któremu wystarczy dać pełną swobodę, a potem tylko redystrybuować dochody. Jego zdaniem to nie wystarczy.

DARON ACEMOGLU jest laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii w 2024 roku i będzie czwartym noblistą, który wystąpi na scenie Impact! Profesor ekonomii w Instytucie Technologicznym w Massachusetts (MIT), współautor (wraz z Jamesem A. Robinsonem) bestsellera „Dlaczego narody przegrywają: Źródła władzy, dobrobytu i ubóstwa”, Zysk i S-ka, 2024) oraz współautor (wraz z Simonem Johnsonem) książki „Władza i postęp: Tysiącletnia walka o technologię i dobrobyt”, Zysk i S-ka, 2025.



Ostatnią, być może najbardziej radykalną propozycją noblisty jest to, że państwo powinno aktywnie nadzorować proces wdrażania innowacji. Tematyce tej poświęcił kolejną książkę „Władza i postęp. Tysiąc lat walki o technologię i dobrobyt”, gdzie przekonująco dowodzi (tym razem z Simonem Johnsonem), że wdrażanie innowacji służyło przez większość historii wyłącznie wąskiej grupie.

Wszystkie te zainteresowania docenił Komitet Noblowski. Gdy wraz z Simonem Johnsonem i Jamesem Robinsonem otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii za „badania nad tym, jak instytucje społeczne wpływają na dobrobyt państw”, Komitet wskazywał: „Społeczeństwa o słabych rządach prawa i instytucjach, które wykorzystują swoją ludność, nie generują wzrostu ani zmian na lepsze. Badania laureatów pomagają nam zrozumieć, dlaczego tak się dzieje”. Jak dodawał Komitet: „W społeczeństwach cechujących się niepewnością porządku prawnego i instytucjami wyzyskującymi populację nie powstaje żaden wzrost ani zmiana na lepsze. Prace laureatów pomagają nam zrozumieć, dlaczego tak się dzieje”. ■

JAKICH AGENTÓW STWORZY BRANŻA AI

Sztuczna inteligencja może nam pomóc podejmować lepsze decyzje albo nawet całkowicie nas w tym wyręczyć. Autonomiczni agenci AI niosą ze sobą jednak poważne zagrożenia, które mogą zaprzepaścić wiele korzyści, jakie oferuje ta technologia.

TEKST: Daron Acemoglu,
Project Syndicate

Tłumaczenie:
Paul Bachowski

Tekst pierwotnie ukazał
się na łamach Project
Syndicate 28.03.2025

Agenci AI nadchodzą, czy jesteśmy na to gotowi, czy nie. Trudno jeszcze dokładnie określić, kiedy modele AI będą w stanie autonomicznie wchodzić w interakcje z platformami cyfrowymi, innymi narzędziami czy nawet z ludźmi. Nie ma jednak wątpliwości, że pojawienie się tych rozwiązań będzie zmianą przełomową. Pytanie: na lepsze czy na gorsze? Mimo licznych dyskusji (i szumu medialnego) wokół agentów AI, wiele kluczowych pytań pozostaje bez odpowiedzi. Najważniejsze z nich brzmi: Jakiego typu agentów AI chce rozwijać branża technologiczna?

Modele są zróżnicowane i wiążą się z nimi odmienne implikacje. W podejściu „AI jako dorad-

ca” agenci sztucznej inteligencji miałby oferować rekomendacje dostosowane do indywidualnych potrzeb człowieka, pozostawiając mu pełną decyzyjność. W modelu „autonomicznej AI” agenci podejmowałiby decyzje za człowieka. A to różnica fundamentalna o dalekosiężnych konsekwencjach.

Każdego dnia ludzie podejmują setki decyzji. Część z nich ma istotny wpływ na ich karierę, szczęście czy ogólną jakość życia. Wiele opiera się na niedoskonałych danych i w dużym stopniu na intuicji, emocjach, instynkcie lub impulsach. Jak ujął to filozof David Hume: „Rozum jest i powinien być jedynie niewolnikiem namiętności”. Przy większości decyzji ludzie nie stosują systematycznego rozumowania i nie zwracają należytej uwagi na wszystkie konsekwencje swoich wyborów, ale – jak zaznaczył Hume, pisząc, że rozum „powinien być” niewolnikiem uczuć – taki stan rzeczy nie jest wcale zły. Właśnie to czyni nas ludźmi. Pasja odzwierciedla cel i może być kluczowa, żebyśmy mogli radzić sobie w tym skomplikowanym świecie.

Dzięki doradcom AI, dostarczającym spersonalizowanych, kontekstowo trafnych informacji, ludzie mogliby podejmować dużo lepsze decyzje, zachowując przy tym ich osobiste motywacje. Ale co złego w tym, gdyby autonomiczna AI po prostu podejmowała decyzję za nas? Pozwoliłoby to zaoszczędzić czas, wyeliminować błędy i jeszcze bardziej usprawnić proces decyzyjny.

Taka perspektywa kryje jednak poważne wady. Po pierwsze, ludzka sprawczość ma kluczowe znaczenie dla naszego rozwoju i procesu uczenia się. Sam akt podejmowania decyzji i rozważania ich konsekwencji – nawet jeśli oparty na danych od sztucznej inteligencji – umacnia nasze poczucie celu i autonomii. Istotą ludzkich działań nie jest gromadzenie i przetwarzanie danych, lecz dokonywanie odkryć. A to doświadczenie może być dla nas coraz rzadsze, kiedy wszystkie decyzje powierzymy agentom AI.

Co więcej, jeśli branża technologiczna skoncentruje się głównie na rozwoju autonomicznych agentów AI, wzrośnie prawdopodobieństwo, że maszyny przejmą znaczną część zadań, które aktualnie wykonują ludzie, ograniczając ilość dostępnych dla nich miejsc pracy. Inaczej mó-



ILUSTRACJA: OBRAZ STWORZONY PRZEZ SZTUCZNĄ INTELIGENCJĘ DO HASŁA: KRYTYKA KORPORACJI. ŹRÓDŁO: LJUBISA BOJIC/FICKR.COM

więc, jeśli sztuczna inteligencja stanie się przede wszystkim narzędziem przyspieszających automatyzację, wszelkie nadzieje na dobrobyt współdzielony przez całą ludzkość przepadną.

Najważniejsze jednak jest to, że istnieje zasadnicza różnica między agentem AI działającym w imieniu człowieka a człowiekiem działającym samodzielnie. Wiele interakcji międzyludzkich zawiera elementy zarówno współpracy, jak i konfliktu. Przykład: firma dostarcza komponenty lub usługi innemu przedsiębiorstwu. Jeśli są one wartościowe dla odbiorcy, transakcja jest korzystna dla obu stron (i zazwyczaj również dla całego społeczeństwa).

Na ostateczny wynik takich negocjacji często mają wpływ także obowiązujące normy (np. uczciwe podejście do biznesu), instytucje (np. umowy, które generują koszty w przypadku ich naruszenia) oraz siły rynkowe (np. sytuacja, gdy sprzedawca ma innego potencjalnego klienta). Ale wyobraźmy sobie, że kupujący ma reputację osoby całkowicie bezkompromisowej, odmawiającej zaakceptowania czegokolwiek poza najniż-

szą możliwą ceną. Jeśli nie ma innych chętnych, sprzedający może zostać zmuszony do zaakceptowania tak niskiej oferty.

Na szczęście w naszych codziennych transakcjach tak bezkompromisowe postawy są rzadkością. Jest to częściowo spowodowane tym, że dobra reputacja popłaca, ale co ważniejsze, większość ludzi nie ma charakteru ani aspiracji do działania w tak agresywny sposób. Ale teraz wyobraźmy sobie, że kupujący ma autonomicznego agenta AI, który nie dba o społeczne konwenanse i ma nieludzko „stalowe nerwy”. Sztuczną inteligencję można wyszkolić tak, aby zawsze przyjmowała bezkompromisową postawę, a kontrahent po drugiej stronie nie będzie miał szans na rozwiązania korzystniejsze dla obu partnerów. Tymczasem w świecie „AI jako doradcy” model może wciąż sugerować nieugiętą postawę, ale ostateczną decyzję podejmuje człowiek.

W najbliższej przyszłości autonomiczni agenci mogą przyczynić się do wzrostu nierówności na świecie, w sytuacji gdy tylko wybrane firmy i poszczególne osoby będą miały dostęp do wysoce sprawnych, wiarygodnych i bezkompromisowych modeli AI. Ale nawet gdyby ostatecznie zdobyli je wszyscy, świat nie zmieniłby się na lepsze. Przeciwnie, nasze społeczeństwa zostaną poddane skutkom „zagrywek na wyniszczenie”, w których agenci AI doprowadzają każdy konflikt na skraj przepaści.

Takie konfrontacje są z natury ryzykowne. Podobnie jak w „grze w cykora” (ang. chicken game), w której dwa samochody przyspieszają, jadąc na czołowe zderzenie, aby zobaczyć, kto pierwszy skręci. Zawsze istnieje możliwość, że żadna ze stron nie ustąpi. Gdy tak się stanie, obaj kierowcy „wygrywają” – i obaj giną.

Sztuczna inteligencja, którą nauczymy wygrywać w „cykora”, nigdy nie skręci. AI może być dobrym doradcą dla ludzi – dostarczać przydatnych i wiarygodnych informacji w czasie rzeczywistym, ale świat autonomicznych agentów AI prawdopodobnie spowoduje wiele nowych problemów, jednocześnie zaprzeczając wiele korzyści, jakie może przynieść ta technologia. ■

**DARON ACEMOGLU,
SIMON JOHNSON**
"Władza i postęp. Tysiąc
lat walki o technologię
i dobrobyt", wyd. Zysk
i S-ka 2025



Przyjmujemy futrzaste mamuty

ERIN MEYER

w rozmowie
z Michałem Wąsowskim,
Money.plILUSTRACJA:
Renata Miklewska

Osobowość firmy należy definiować, myśląc o dylematach i wyrażać ją w zaskakujących obrazach. Erin Meyer, światowej sławy ekspertka od kultury organizacji, wyjaśnia, jakie są trzy klucze zarządzania pracownikami, gdzie przedsiębiorcy popełniają błędy i dlaczego „futrzasty mamut” działa lepiej niż „szacunek i uczciwość”.

ERIN MEYER

ekspertka od kultury organizacji, profesorka INSEAD, jednej z wiodących międzynarodowych szkół biznesu na świecie. Autorka książki „Mapa kulturowa: Jak skutecznie radzić sobie z różnicami kulturowymi w biznesie” oraz współautorka wraz z Reedem Hastingsem „Gdy reguła jest brak reguły. Netflix i filozofia przemiany”. Publikowała w „Harvard Business Review”, „The New York Times” i „Forbes”.



W wielu firmach rozmawia się dziś o kulturze organizacyjnej, mówią o niej liderzy. Ale czym ona właściwie jest? Jak ją definiujesz?

Przede wszystkim musimy zrozumieć, że podobnie jak jednostki, każda grupa ma osobowość – współpracującą, silnie oceniającą lub jakąkolwiek inną. Oczywiście nie oznacza to, że każda osoba będąca jej częścią ma te same cechy indywidualne. Chodzi o to, że jako zespół zaczęliśmy zachowywać się w określony sposób i postrzegamy innych przez pryzmat naszych norm.

Eksperci i liderzy często mówią o kulturze organizacyjnej jak o czymś, co powinno być ustalone i zaszczerpione w firmie z góry. Do pewnego stopnia jest to prawda, ale z tego, co mówisz, kultura może się również wyłonić pomimo tych wysiłków, podążać własnym torem?

Tak, właśnie dlatego, że każda grupa ma osobowość. Ton nadaje jej lider, który wpływa na to, w jaki sposób wszyscy się zachowują. Jeśli uda mu

się zatrudniać i zwalniać ludzi, bazując na pragnieniach zespołu, będzie to miało spory wpływ na jego charakter. Ale pomimo najlepszych wysiłków lidera, osobowość grupy może być kształtowana również przez inne osoby o silnych cechach. Grupa ewoluuje niezależnie, jej kultura nie poddaje się pełnej kontroli. Trzeba próbować ją kształtować, wzmacniać i pielęgnować, ale rozwija się w sposób organiczny.

Co lider może zrobić, żeby faktycznie kształtować kulturę firmy?

Na początek pozwolę sobie stwierdzić coś, co może wydawać się oczywiste, ale jest ważne – osobowość firmy jest absolutnie kluczowa dla jej sukcesu. Ludzie czasem myślą: „Och, kultura to taki miękki, niekonkretny aspekt. Skupmy się na strategii”. Ale wyobraź sobie, że masz firmę, w której ludzie są pracowici, ambitni i chętni do współpracy. Albo taką, gdzie panuje marazm, narzekanie, brak ambicji i niechęć do pracy zespołowej. To ilustruje, jak ważna jest kultura organizacyjna. Jeśli jako lider masz jej jasną wizję, pytanie brzmi: jak sprawić, aby naprawdę przeniknęła do zespołu i wpłynęła na jego działanie?

Czyli najważniejsze pytanie w całej tej dyskusji.

Tak. Chciałabym zwrócić uwagę na trzy praktyczne kwestie. Zaczniemy od pierwszej, najtrudniejszej. Wiele organizacji opisuje swoją kulturę w oparciu o to, co nazywam „absolutnymi pozytywami”. Posługują się oczywistymi formułami w stylu: „tutaj wszyscy dbamy o uczciwość, szacunek i dobrą komunikację”. Ale przecież nie znajdziemy firmy, gdzie lider deklaruje: „wszyscy cenimy korupcję” albo „nie obchodzą nas relacje między ludźmi”. Kiedy więc mówisz: „zależy nam na wzajemnym szacunku”, brzmi to miło, ale tak naprawdę niewiele znaczy, nie wpływa na podejmowanie decyzji przez pracowników.

Co więc firma, lider powinni zrobić zamiast tego?

Należy definiować kulturę, myśląc o dylematach. Jest to kluczowe, bo jeśli potrafisz mówić o niej w sposób wpływający na podejmowanie decyzji, wówczas doprowadzi to do rozwoju kultury w całej organizacji.

Możesz rozwinąć, co rozumiesz przez „dylematy”?

Na przykład: w firmie liderzy dzielą się z pracownikami dużą ilością informacji, nawet jeśli prowadzi to do chaosu czy dyskomfortu. Dobrym tego przykładem jest Meta, gdzie bardzo silnie wierzą w transparentność. Kilka lat temu, kiedy przeprowadzali masowe zwolnienia, Mark Zuckerberg poinformował o tym wszystkich z wyprzedzeniem: „tego dnia zwolnimy tyle osób z tego i tego działu”.

Oczywiście wywołało to chaos – ludzie byli zdenerwowani, niektórzy sami odchodzili z firmy. Ale nie można zarzucić Zuckerbergowi braku konsekwencji. Zadeklarował przejrzystość i rzeczywiście się jej trzymał. Właśnie o to chodzi, by działać w zgodzie z tym, co się głosi. Nie musi to być akurat transparentność – równie dobrze może to być co innego, na przykład stabilność. Zamiast zwalniać pracownika, możesz powiedzieć: „jesteś życzliwy, zaangażowany, dajesz z siebie wszystko – zostajesz, bo jesteśmy jak rodzina”. Albo odwrotnie, w innej firmie zatrzymuje się tylko najlepszych, bo liczą się wyłącznie wyniki.

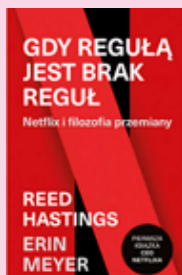
Oba podejścia można racjonalnie uzasadnić, ale każde tworzy inną kulturę organizacyjną. Dylemat brzmi: czy jako menedżer zwalniam ludzi mających dobre intencje, pracowitych, ale nie osiągających najlepszych wyników. To właśnie takie decyzje pokazują, jak naprawdę działa firma, mają realny wpływ na zachowania pracowników i należy o nich myśleć. Niezależnie od decyzji twoje słowa zaczną kształtować sposób myślenia zespołu. I właśnie dlatego same hasła, takie jak „uczciwość, szacunek, komunikacja” niewiele dają. Pomaga nam za to myślenie o trudnych dylematach i wskazywanie, że w danych sytuacjach idziemy w prawo lub w lewo.

Przykładem tego może być Reed Hastings, założyciel Netflixa. On ma zasadę: „żadnych genialnych dupków”. Netflix nie chce w swoich szeregach osób wybitnych, ale nieprzyjaznych, zachowujących się źle wobec współpracowników.

Zgadza się. W branży technologicznej jest to częsty dylemat – co zrobić z kimś, kto ma wyjątkowe umiejętności techniczne, ale jest

**PODOBNIIE JAK JEDNOSTKI, KAŻDA GRUPA MA OSOBOWOŚĆ
– WSPÓŁPRACUJĄCĄ, SILNIE OCENIAJĄCĄ LUB JAKĄKOLWIEK INNĄ.**

NAJBARDZIEJ UDANE KULTURY ORGANIZACYJNE NASZYCH CZASÓW OPIERAJĄ SIĘ NA MYŚLENIU I KOMUNIKOWANIU SIĘ OBRAZAMI, A NIE ZASADAMI.



„Gdy reguła jest brak reguł. Netflix i filozofia przemiany”, Znak Literanova 2021



„Mapa kulturowa. Jak skutecznie radzić sobie z różnicami kulturowymi w biznesie”, Znak Literanova 2023

człowiekiem trudnym we współpracy? Zatrzymać go, bo „robi wyniki”, czy zwolnić, bo jest nieznośny dla współpracowników?

Punkt numer jeden to dylematy. Co powinno dziać się dalej?

Drugim punktem jest wizualizacja. Jeśli dzisiaj powiem ci dwa słowa: ananas i sprawiedliwość, spotkamy się za rok i poproszę Cię o ich przypomnienie, prawdopodobnie odpowiesz, że jednym z nich był ananas, ale drugiego nie pamiętasz.

To zjawisko nazywa się efektem przewagi obrazu i jest dobrze udokumentowane w badaniach. Dowodzi ono, że gdy posługujesz się sugestywnymi obrazami w miejsce teorii lub zasad, ludzie znacznie lepiej zapamiętują twoje słowa. Najbardziej udane kultury organizacyjne naszych czasów opierają się na myśleniu i komunikowaniu się obrazami, a nie zasadami.

Prosty przykład: Amazon posługuje się zasadą dwóch pizz – liczba osób na spotkaniu nie może przekroczyć grona, które można nakarmić dwiema pizzami. Od razu to widzisz, prawda? Firma zmagala się z częstym problemem – wszyscy tracili czas na zbyt dużych zebraniach. Mogli po prostu ogłosić: „nasza kultura to małe spotkania”, ale zamiast tego stworzyli sugestywny obraz – zasadę „dwóch pizz” – każdy ją zapamięta.

Innym przykładem jest firma Harry’s specjalizująca się w produktach do golenia. Ich hasło brzmiało: „Przyjmujemy futrzaste mamuty”. To obraz, którego używają, by zachęcić ludzi do bezpośredniej i odważnej komunikacji, ale jednocześnie ciepłej i życzliwej. Zamiast mówić: „udzielamy dużo informacji zwrotnej i staramy się być mili”, mówią po prostu: „przyjmujemy futrzaste mamuty”.

A trzeci punkt?

Trzeci punkt to element zaskoczenia. Gdy potrafisz wyrazić kulturę w sposób nieoczywisty, w mózgach odbiorców zachodzą reakcje chemiczne, które sprawiają, że dany obraz lub przekaz zostaje w ich głowach naprawdę na długo. Jeśli nie jesteś odkrywcy, a twoje komunikaty brzmią jak hasła każdej innej firmy – nikt ich nie zapamięta. Ale jeśli potrafisz zaintrygować, zadziwić, a nawet wywołać lekką kontrowersję, wtedy twoje reguły naprawdę zapadają w pamięć. Dobrym przykładem jest zasada „żadnych genialnych dupków” – nieco prowokacyjna, ale skuteczna. W Airbnb kultura firmowa opiera się na trzech zaskakujących symbolach: słoniu, martwej rybie i... wymiotach.

To brzmi co najmniej dziwnie. I faktycznie zapada w pamięć.

Właśnie. „Słoń w pokoju” to oczywisty problem, o którym nikt nie chce rozmawiać. W Airbnb mierzyli się z sytuacją, w której wszyscy zachowywali się uprzejmie, tworząc pozory, że wszystko jest w porządku, a tak naprawdę relacje w zespole były napięte i skomplikowane. Ta sytuacja irytowała ludzi, jednak nikt nie wyrażał tego otwarcie. Martwa ryba to temat, który brzydko pachnie i dawno powinien zostać „uprzątnięty”, ale wciąż zalega i psuje atmosferę. Wymioty zaś symbolizują rzeczy, które sprawiają, że czujemy się źle i musimy je z siebie wyrzucić.

Jeśli opanujesz te trzy elementy – dylematy, obraz i zaskoczenie – będziesz kształtować kulturę wpływającą na zachowania pracowników o wiele skuteczniej niż 99 procent organizacji.

Załóżmy więc, że się udało. Ale w jaki sposób potem lider lub zespół może rozpoznać, że kultura zaczyna odchodzić od tego, czym miała być?

Moim zdaniem w większości firm – przynajmniej na początku – dość łatwo wyczuć, że sprawy idą w niewłaściwym kierunku. Zarówno pracownicy, jak i liderzy widzą i czują, że to nie jest kultura, z którą chcieliby się utożsamiać.

Jak w takiej sytuacji można przywrócić kulturę na właściwe tory?

Być może trzeba będzie dokonać radykalnych zmian, bo kiedy grupa ma już silnie ukształtowaną osobowość, trudno nadać jej nowy kierunek. Szczególnie jeśli jej częścią jest opór wobec zmian. Wtedy musisz podjąć trudne i odważne decyzje i jasno powiedzieć, że zatrudniamy i zwalniamy zgodnie z kulturą organizacji. Liderzy powinni klarownie komunikować swoje oczekiwania, zwłaszcza w aspektach, z którymi ludzie mogą się nie zgadzać.

Drugą rzeczą, o której warto pamiętać, jest to, że o kulturę trzeba stale dbać – jak o ogród. Lubię myśleć o organizacji opartej na kulturze w taki sposób, że to CEO pełni rolę głównego ogrodnika. To świetny obraz i analogia do kultury organizacyjnej. Możesz włożyć mnóstwo wysiłku i mieć pewne intencje, ale rośliny nie zawsze rosną tak, jakbyś oczekiwał – czasem zabraknie deszczu, czasem pojawią się szkodniki. Masz pewną kontrolę, ale nie całkowitą.

Jak więc utrzymać optymalną kontrolę nad tym procesem?

Zauważyłam, że liderzy, którzy naprawdę stawiają na kulturę, poświęcają dużo czasu na rozmowy z ludźmi z różnych poziomów organizacji. Wracając do Reeda Hastingsa – spędzał 50 procent swojego czasu jako lider na spotkaniach jeden na jeden. Co ważne, nie rozmawiał wyłącznie ze swoimi bezpośrednimi współpracownikami, ale także z osobami z niższych szczebli organizacji. Nie były to rozmowy, podczas których pomagał im podejmować decyzje czy radził, co mają robić. Po prostu ich słuchał. To część bycia dobrym ogrodnikiem. To również sposób na sprawdzenie, czy kultura jest właściwa.

MICHAŁ WĄSOWSKI

specjalizuje się w strategiach biznesowych, finansach i technologiach.

Obecnie zastępca szefa obszaru biznes

Money.pl w grupie WP, wcześniej m.in. wieloletni dziennikarz i wydawca Business Insider Polska, manager portalu INNPoland.pl, dziennikarz i wydawca w natemat.pl.

Regularnie przeprowadza wywiady z liderami globalnych firm technologicznych i finansowych.

Trzymając się tej metafory - jak dbać o ogród, gdy firma szybko rośnie? Im większa organizacja, tym mniej czasu mają liderzy na spotkania jeden na jeden i podobne rzeczy.

Wierzę, że dopóki zespół liczy do stu osób, nie musisz artykułować kultury organizacyjnej. Możesz to robić, ale nie jest to konieczne. Gdy ogród jest mały, wystarczy modelować zachowania, rozmawiając z każdym osobście. Znasz imiona ludzi, ich wartości, często sam ich zatrudniłeś.

Ale kiedy firma przekracza sto osób, musisz zacząć myśleć, w jaki sposób jasno wyrazić jej kulturę – aby rośliny rosły, kiedy ciebie nie ma. Przestajesz działać organicznie. Musisz zdecydować, jakie dylematy artykułować, by miały wpływ na podejmowanie decyzji w całej firmie, żeby ogród rozwijał się w określonym kierunku.

A następnie stworzyć zaskakujący obraz?

Tak. Jako CEO, w miarę jak firma rośnie, musisz również co jakiś czas zejść niżej i sprawdzić „temperaturę gleby”, upewnić się, czy na każdym poziomie organizacji dylematy są właściwie rozumiane i przekładane na decyzje.

Oczywiście każdy menedżer może kształtować nieco inną kulturę w swoim dziale, odpowiadając za swój fragment ogrodu. Im większa firma, tym bardziej kultura zaczyna się rozmywać. Dlatego w pewnym momencie musisz odejść od bycia jedynie wzorem i przejść do wykorzystywania dylematów i stwarzania całego modelu.

A potem, miejmy nadzieję, firma rośnie do 10 czy 20 tysięcy osób. Co wtedy?

Gdy dochodzisz do 20 tysięcy osób, to niewątpliwie masz problemy, które nie występują przy dwóch tysiącach. Wszystko po prostu staje się trudniejsze. Możesz zauważyć różne kultury w różnych częściach organizacji. Ale nadal trzymamy się tych samych zasad: dylematy prowadzące do obrazów, wzorce zachowań liderów i CEO sprawdzający glebę. Nawet jeśli staje się to coraz bardziej rozmyte. Bo ostatecznie kultura i strategia muszą współdziałać. ■

ŻYJEMY W CZASACH PRZESILENIA

Mamy do czynienia z ogólnościowym buntem ludu przeciwko elitom. To nie jest rewolucja interesu, ale poczucia godności.

Sławomir Sierakowski: W czasach chaosu, upadku wyobrażeń, które miały być trwałe – czasach wojen – ludzie często zwracają się w stronę sztuki. Czasem po naiwnie oczekiwane wizje profetyczne albo informacje, których publicystyka czy socjologia nam nie przekażą. Twoje książki często czytam jako zaangażowane. Jak widzisz ten świat? Czego się spodziewasz? Jesteś pisarzem, masz swoją ojczyznę językową, geograficzną, którą możesz stracić...

Szczepan Twardoch: Moja literatura nie jest zaangażowana w sensie, w jakim przyjęliśmy rozumieć to pojęcie. Nigdy nie piszę „w sprawie”, ponieważ powieść nie do tego służy. Nie wierzę przesadnie w wartość ani w skuteczność powieści zaangażowanej *per se*. Chętnie posługuję się taką metaforą, że powieść zaangażowana jest jak wbijanie gwoźdźnia szklanką. Gwoźdźnia nie wbijesz, a szklanka się stłucze. Powieść ma służyć samej sobie. Powieść jest celem powieści. Z drugiej strony ja sam jestem zaangażowany w jakieś sprawy, które są dla mnie ważne, więc one z natury rzeczy pojawiają się w moich powieściach. Jeśli komuś te sprawy również są bliskie i będzie się chciał moją powieścią dla samego siebie albo dla innych w celu tego zaangażowania posłużyć, to ja oczywiście nie mam żadnych metod ani środków, aby tego zabronić. Człowiek może sobie z moją powieścią robić, co mu się podoba.

SZCZEPAN TWARDOCH

w rozmowie
ze Sławomirem
Sierakowskim

Może ją źle rozumieć, może ją zrozumieć podobnie jak ja ją rozumiem, może znaleźć jakąś inną ciekawą interpretację, może też znaleźć sobie interpretację bardzo głupią.

Podjmujesz jednak tematy, które mają wpływ społeczny. Z „Nulla” i „Cholodu” dowiadujemy się o Ukrainie i Rosji w danym momencie. Wcześniej w „Królu” i „Królestwie” zrekonstruowałeś żydowską Warszawę chyba po raz pierwszy w polskiej kulturze na masową skalę, także dzięki serialowi. Jak więc dzisiaj widzisz świat? Czego się spodziewasz?

To jest pytanie, na które należałoby odpowiedzieć albo wielką powieścią, przynajmniej na miarę „Doktora Faustusa”, albo ogromnym esejem. Trudno na nie odpowiedzieć, ale spróbuję ująć podstawowe punkty. Przede wszystkim jestem przekonany, że „kryształowy pałac” się potłukł. Już go nie ma i nie będzie. Nie ma powrotu do *status quo ante bellum*. Mamy do czynienia z ogólnościowym buntem ludu przeciwko elitom. Prawicowy populizm pełni teraz podobną rolę społeczną, jaką w drugiej połowie XIX wieku pełniły masowe ruchy lewicowe. Oczywiście nie wiemy, w którą stronę to wszystko pójdzie, bo ten populistyczny ruch, na przykład w stylu MAGA (Make America Great Again – przyp. red.), równie dobrze może zostać przechwycony przez ludzi pokroju Elona Muska. Wtedy z natu-

ZDJĘCIE: JACEK POREBA

**SZCZEPAN
TWARDOCH**

autor kilkunastu powieści i zbiorów opowiadań, m.in.: „Morfina” (2012), „Drach” (2014), „Król” (2016), „Chołód” (2022), „Null” (2025), a także monodramu, dramatów, librett operowych i scenariuszy. Jego książki sprzedały się w ponadmilionowym nakładzie. Uhonorowany wieloma nagrodami, m.in. Paszportem „Polityki”, Nagrodą im. Kościelskich, Brücke Berlin-Preis, Nagrodą Czytelników Nike. Prawa do jego powieści zostały sprzedane do kilkunastu krajów. Za działalność na rzecz ukraińskiego wojska w 2024 roku wyróżniony nagrodą Stand with Ukraine. Szczepan Twardoch będzie mówcą Impact'26.

**DZIŚ HOLLYWOOD JEST ZŁOŻONE Z DYNASTII. WIĘKSZOŚĆ GWIAZD, REŻYSERÓW
POCHODZI Z AKTORSKICH, REŻYSERSKICH, PRODUCENCKICH RODZIN,
KTÓRE REPLIKUJĄ SIĘ SAME. LUDZIE WYRAŹNIE WIDZĄ, ŻE TAK SAMO JEST Z ELITAMI
UNIWERSYTECKIMI CZY DZIENNIKARSKIMI – DROGA DO NICH JEST ZAMKNIĘTA.**

ry rzeczy straci swój ludowy, buntowniczy wymiar. Jednak przyglądając się niespodziewanemu dla mnie zwycięstwu Steve'a Bannona nad Elonem Muskem, widzę, że element ludowego buntu ma swoją siłę. Że do tego przechwycenia jeszcze nie doszło. Nie chcę się tutaj posługiwać historycznymi analogiami – wszyscy wiemy, jaka jest ich wartość. Ale żyjemy w czasach tłęcej się już trzeciej wojny światowej. Może wojna w Ukrainie jest jakimś historycznym ekwiwalentem wojny domowej w Hiszpanii, po której przyjdzie coś wielkiego, a może nie. Historyczne analogie zawodzą, utrudniają zrozumienie, ponieważ świat jest zupełnie inny niż był 80–90 lat temu. Oferują proste rozwiązania skomplikowanych równań i skomplikowanych układów.

Przy wszystkich wątpliwościach wobec analogii i tak nie możemy się bez nich obejść. Powiedziałeś, że ruchy populistyczne spełniają dzisiaj podobną funkcję do masowych ruchów lewicowych kiedyś. Dlaczego jest tak, że wtedy te masowe ruchy miały romantyczny charakter, etos, kodeks silnych wartości, autentyczność, ideę poświęcenia, a dzisiaj prawicowy populizm jest w dużej mierze cyniczny? Steve Bannon to intelektualista, należy do elit, a przy okazji jest w gruncie rzeczy oszustem i nawet sam mówi o tym wprost.

Wiesz lepiej ode mnie, że masowe ruchy lewicowe były prowadzone przez intelektualistów – często zamożnych, żyjących z kapitału. Mówisz o elemencie, nazwijmy, prometejskim, którego nie dostrzegasz w dzisiejszym prawicowym populizmie. I być może tak jest. Nie rozumiemy jeszcze dobrze prawicowego populizmu, bo może jest on dopiero w zalążkowej formie. Jeśli ktoś jest temu winien, to moim zdaniem liberalno-lewicowe elity. Wspaniale pisze o tym David Graeber w zakończeniu „Bullshit Jobs” (tytuł polskiego wydania „Praca bez sensu. Teoria”, Wydawnictwo Krytyki Politycznej – przyp. red.), gdzie próbuje odpowiedzieć na pytanie, dlaczego w Ameryce ludzie z podklasy raczej wolą nienawidzić liberalnego intelektualistę, dziennikarza, aktora, niż wielkiego kapitalistę. Według niego to zrozumiałe i wynika z tego, że ludzie z klasy ludowej potrafią sobie wyobrazić awans społeczny do elity pieniądza – swój czy swoich dzieci. Widzą jednak jasno, że awans do elity intelektualnej i elity kapitału jest już praktycznie

niemożliwy, ponieważ te elity same się replikują, nie potrzebują kooptacji. Graeber posługuje się wspaniałym przykładem – Hollywood w pierwszej połowie XX wieku było oparte na micie awansu społecznego. Każdy mógł się utożsamiać z gwiazdą, ponieważ wychodziła ona z nizin i wchodziła do życia pełnego arystokratycznego *fleur*. Natomiast dziś Hollywood jest złożone z dynastii. Większość gwiazd, reżyserów pochodzi z aktorskich, reżyserkich, producenckich rodzin, które replikują się same. Ludzie wyraźnie widzą, że tak samo jest z elitami uniwersyteckimi czy dziennikarskimi – droga do nich jest zamknięta. Stąd rodzi się niechęć.

Dojdźmy jednak do tego, co różni tamte ruchy od tych, czyli od początku prawicowego populizmu z końca lat 90. Prawicowy populizm charakteryzuje się tym, że ludzie głosują na partie, które godzą w ich własny interes. Biedni głosują na Trumpa, a Trump później obniża podatki najbogatszym. To jest jakiś rodzaj zakłamania, a przynajmniej sprzeczności.

To jest rewolucja nie interesu, ale poczucia godności. W liberalno-lewicowej elicie panuje konsensus, iż jedyną grupą społeczną, o jakiej można się wyrażać językiem obraźliwym, z góry umniejszającym, jest biała podklasa. Tak samo działa to w Ameryce, jak i w Polsce. Nie możesz, skądinąd słusznie, należąc do lewicowo-liberalnej elity, wypowiedzieć się pogardliwie o czarnych mieszkańcach Filadelfii, ale o mieszkańcach Pasa Rdzy albo o mieszkańcach Radomia możesz mówić językiem takim, który pasowałby do języka, jakim siedemnastowieczna szlachta posługiwała się, mówiąc o swoim chłopstwie. I jeśli mówisz o kimś takim językiem, to nie możesz się spotkać z inną reakcją niż to, że zagłosujemy na absolutnie każdego, kto da nam poczucie godności, bo w tym momencie poczucie własnej godności i człowieczeństwa okazuje się być potrzebą ważniejszą niż potrzeba stricte materialne.

Rozciągasz to też geograficznie? To znaczy, że w ramach tej rewolucji godności ludzie mniej uprzywilejowani ekonomicznie, czujący się pogardzanymi przez elity czy nieodnajdujący się w tym głównym nurcie są jednocześnie prorosyjscy? Myślę na przykład o Niemczech.

W Niemczech na pewno – jeśli mówimy o AFD, o Sarze Wagenknecht czy nawet o starych kadrach Die Linke. Tam jest to bardzo geograficzne,

SZCZEPAN TWARDOCH
„Null”, wyd. Marginesy
2025



bo Ossi mają bardzo głęboki resentyment wobec Zachodu.

Chodzi mi o prostszy mechanizm. Jeśli elity w państwach Zachodu stawiają opór Rosji, to ktoś, kto chce się na tych elitach odegrać, może zacząć być z tego powodu prorosyjski?

Tak. Wszystko, co postrzegane będzie przez podklasę jako narzucane przez elity, spotka się z oporem. Wracając do Polski – z czego wynika popularność teorii antyszczepionkowych czy nieustającego happeningu, który prowadzi Grzegorz Braun. Z tego, że jest to na przekór. Im więcej aktorek stoi przy Kamali Harris albo Hillary Clinton, albo u nas, przy Rafale Trzaskowskim, tym większą przekorę to budzi. Z kolei po liberalnej stronie ten poziom samouwielbienia jest tak wielki, że nie rozumieją, jak ktoś mógłby zagłosować na złość Mai Ostaszewskiej. Jak ktoś mógłby zagłosować na złość ludziom, którzy sami siebie postrzegają jako szlachetnych i rozumnych? Nie zawsze, ale dlaczego taką niechęć wzbudzają kwestie ograniczenia ruchu samochodowego w miastach? Bo wychodzi to z wyższościowej pozycji: „Teraz ja do was przyjdę, maluczcy, i objaśnię wam świat, co jest słuszne i dobre, a wy będziecie mi za to wdzięczni”. Żaden dorosły człowiek nie lubi być pouczany jak dziecko i reaguje na to oporem. Podstawowym elementem jest tu myślenie o tym, że „oni” będą tu sobie jeździć swoimi nowymi mercami i teslami, a ja moim starym oplem nie mogę.

Czym to się skończy, według Ciebie?

Nie wiem, jak to się skończy. Ewidentnie jednak żyjemy w czasach jakiegoś przesilenia, a w historii przesilenia zawsze prowadzą do ustalenia nowego ładu. Jaki będzie ten nowy ład, nie mam pojęcia. Nie wierzę w determinizm historyczny z różnych powodów.

Myślisz, że elity oduczą się dyskryminacji albo zaczną myśleć w takich kategoriach, które nie sprzyjają tylko ich interesowi?

Na pewno się nie oduczą. Elity, czy to w Polsce, czy w Ameryce, są absolutnie niezdolne do autorefleksji i do zmiany. Mogą zostać oduczone, i to przemocą.

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI

polski socjolog i analityk polityczny, senior fellow w German Council on Foreign Relations oraz przewodniczący Rady Programowej Impact CEE w Poznaniu i Bukareszcie. Współzałożyciel Krytyki Politycznej, prezes Stowarzyszenia im. Stanisława Brzozowskiego. Publikuje w wielu tytułach, w 2013 r. został autorem współpracującym z „The New York Times”, a w 2015 r. felietonistą „Project Syndicate”, gdzie od 2024 r. jest redaktorem stowarzyszonym.

Czy agresywna polityka Rosji to też jest jakaś forma rewolucji elit? Rewolucji godności?

Rosja może wykorzystywać ten powszechny albo powszechniejący na Zachodzie sentyment czy resentyment do swoich celów bezwzględnie. Natomiast ja tę wojnę postrzegam bardziej w tradycyjnym, geopolitycznym wymiarze.

I co przewidujesz? Rosja ma w tej globalnej grze szanse? Masz jakieś wewnętrzne struny, które Ci coś podpowiadają?

Wewnętrzne struny podpowiadają mi z powodów, których nie potrafię uzasadnić, że nie będzie pełnoskalowej, kinetycznej konfrontacji Rosji z NATO. Podpowiadają mi również, że wojna w Ukrainie będzie trwać. Może zmniejszyć się jej intensywność, ale będzie się ona tlić. Straszną myślą jest to, że trwanie tej wojny jest w pewnym sensie w interesie Zachodu i NATO, ponieważ Rosja zajęta w Donbasie, pod Charkowem czy pod Chersoniem nie będzie w stanie działać na Łotwie czy w Estonii. Uważam, że to doprowadzi do jakiegoś rodzaju nowej zimnej wojny.

Co jest możliwe w przyszłości w Rosji? Ja rozróżniam trzy progi: demokratyzacja Rosji, liberalizacja Rosji albo przynajmniej deimperializacja Rosji. Nie wierzę w możliwość tego, żeby Rosja się stała w przewidywalnej przyszłości państwem demokratycznym, a jej społeczeństwo – społeczeństwem liberalnym. Ale można Rosję oduczyć imperializmu?

W pełni się z tobą zgadzam. Stawką, o którą można walczyć, rozmawiając z nowym pokoleniem czy z opozycją, jest pozbycie się przez Rosję imperialnego odruchu. Możemy i powinniśmy liczyć na jakąś trwałą smutę. Ze smuty siedemnastowiecznej Rosja wychodziła przez parę dekad, a między Iwanem Groźnym a Piotrem Wielkim jest dziura w rosyjskim imperializmie. Kolejna smuta zaczęła się od klęski pod Cuszimą i potrwała do lat 20. Rosja była wtedy kolosem na glinianych nogach. Ostatnia rosyjska smuta lat 80. i 90. niestety potrwała bardzo krótko. W Rosji przyjdzie smuta, a działania Zachodu powinny zmierzać nie do tego, żeby była tam niezależna prasa i wolne wybory, skoro Rosjanie tego nie chcą, tylko do tego, żebyśmy po prostu nie musieli wysyłać własnych dzieci do okopów. ■

Polska - Ukraina – przyszłość w odbudowie

Jeśli chcemy utrzymać tempo wzrostu polskiej gospodarki i zapewnić przyszłość naszym dzieciom, musimy doprowadzić do sprawiedliwego pokoju w Ukrainie. Dlaczego? Ponieważ to Ukraińcy pomogą nam w dalszym rozwoju, mówi Jakub Karnowski, polski ekonomista i finansista, prezes ukraińskiego Kredobanku.

JAKUB KARNOWSKI

w rozmowie
z Jerzym Wójcikiem

Jerzy Wójcik: Oksana Zabuzko po kolejnej nocy ataków na Kijów opublikowała poruszający wpis. Zauważyła w nim, że „przeciwnicy” z Europy i Zachodu są już zmęczeni widokiem rosyjskich dronów i rakiet uderzających w ukraińskie domy oraz zdjęciami ofiar. Sugeruje, że Ukrainę należy przedstawiać z innej perspektywy. „Chwała i cześć ukraińskim elektrykom, którzy od 20.00 do 21.00 po tym ataku przywrócili linie trolejbusowe, ukraińskim pracownikom wodociągów, kolei, kawiarni, śmieciarzom – wszystkim, którzy czwartego roku wojny bez kamer i oklasków dokonują cudu”, pisze. Funkcję prezesa Kredobanku objął Pan w czasie wojny. Jak odnajduje się Pan w tej opowieści?

Jakub Karnowski: Od początku pełnoskalowej agresji spędziłem blisko rok w Kijowie i ponad pół roku we Lwowie. Pamiętam sytuację ze stycznia 2024 roku w Kijowie: zaledwie godzinę po ataku na klub sportowy „Lokomotyw Kijów” na miejscu zniszczeń wstawiano już nowe okna. To dla mnie esencja odpowiedzi na pytanie o odbudowę: ona już trwa.

Od roku pełnię funkcję prezesa jedynego polskiego banku działającego w Ukrainie. Kredobank, jako podmiot z polskim kapitałem państwowym, odgrywa kluczową rolę w utrzymaniu stabilności Ukrainy. Środki z Zachodu umożliwiają obronę, lecz kluczowy jest codzienny wysiłek gospodarczy. Banki udzielają kredytów, gromadzą depozyty i inwestują, a pracownicy naprawiają zniszczoną infrastrukturę. To wszystko dowodzi, że gospodarka Ukrainy funkcjonuje.

Fazy wojny i ich wpływ na gospodarkę zmieniały się. Pełnoskalowa odbudowa rozpocznie się, gdy Ukraina uzyska gwarancje bezpieczeństwa. Polska po 1990 roku doświadczyła złotego wieku i rekordowego rozwoju gospodarczego. Ukraińcy również na to czekają. Uważam, że Ukraina została zdradzona, ponieważ Zachód nie wywiązał się z gwarancji w zamian za rezygnację z broni atomowej. Nadszedł czas, aby te gwarancje zostały zrealizowane przynajmniej w odniesieniu do terytoriów kontrolowanych przez rząd w Kijowie, bez uznawania aneksji Krymu i pozostałych terytoriów okupowanych.

Skąd Ukraińcy czerpią siłę i wytrwałość? Trudno wyobrazić sobie inne społeczeństwo, które przez lata, dzień po dniu, podnosiłoby się i walczyło.

Szczerze mówiąc, nie wierzę w nadzwyczajne cechy narodowe. W Katedrze Międzynarodowych Studiów Porównawczych, gdzie pracuję od 30 lat, analizujemy przyczyny rozwoju lub stagnacji krajów, np. Korei Północnej i Południowej – ci sami ludzie, a rozwijają się odmiennie z powodu różnych instytucji i systemów. W Ukrainie dzisiaj toczy się autentyczna walka dobra ze złem, którą Polacy doskonale znają z własnej historii.

Rosjanie są niezwykle skuteczni w propagandzie i manipulacji. Nie możemy ich nie doceniać. Choć słabsi ekonomicznie od Zachodu, nadrabiają innymi metodami. To autentyczna walka krajów demokratycznych, zbudowanych na cywilizacji judeochrześcijańskiej, z „ruskim mirem”.

Przed 1939 rokiem Ukraina była z grubsza podzielona na część należącą do Rzeczypospolitej i część należącą do Związku Sowieckiego. Ukraińcy nie byli zadowoleni z polityki II RP, ale po drugiej stronie mieli Holodomor. Właśnie tak to postrzegam: wiemy, kim jest Putin i co robił. Z drugiej strony Ukraińcy sobie z tym radzą. Oczywiście w Ukrainie również są ludzie dopuszczający się korupcji czy zdrady – jak w każdym narodzie. Jednakże jest to wielki naród, którego istnienie jest zagrożone, podobnie jak nasze było w latach 1939 czy 1944.



Znaleźliśmy się w sytuacji, w której bliski kraj znalazł się w strasznym położeniu, a my zachowaliśmy się tak, jak należy. Rosja, pomimo słabej gospodarki, jawi się jako gigantyczne zło, przestrzeń i mentalność, system, który nie baczy na koszty ludzkie. To, że ukraińskie państwo funkcjonuje dzień po dniu, jest absolutnie niezwykle. Pracował Pan przy reformie ukraińskiej kolei. Wiemy, jak skomplikowane są reformy kolejowe. Spotykam się z wieloma świadectwami, że kolej ukraińska stała się najbezpieczniejszym środkiem transportu i jest bardziej punktualna niż kolej niemiecka.

Polska kolej bywa obecnie bardziej punktualna niż niemiecka. Paradoksalnie, jako liberał i zwolennik gospodarki rynkowej zauważam, że brak reformy ukraińskiej kolei (oddzielającej infrastrukturę od przewoźników, jak w PKP czy UE) okazał się jej atutem w warunkach wojennych. Ta scentralizowana struktura, podobna do PKP z 1990 roku, była kluczowa.

Centralizacja przy odpowiednim przywództwie okazała się kluczowa w momencie ataku Rosji. Tak było w przypadku Ukrainy. Prezydent Zełenski okazał się bohaterem, choć wielu miało co do tego wątpliwości. Scentralizowana struktura pomogła. Kolej nie jest też łatwym celem ataków; trudno trafić w coś, co się porusza. Ukraińcy wykazali się niezwykle zdolnością do działania. Zarówno prezydent Zełenski i jego otoczenie, jak i kierownictwo „Ukrzaliznyci” zdali egzamin.

W naszych debatach historycznych rozmawiamy o tym, co się stało 85 lat temu w Polsce.

Rząd Polski w 1939 roku nie zdał egzaminu, uciekając do Rumunii pomimo szumnych zapowiedzi. Byli to ci sami ludzie, którzy prowadzili niekorzystną także dla Polski i Polaków politykę wobec mniejszości ukraińskiej w Polsce, największej mniejszości do 1939 roku.

Często podkreśla Pan, że odbudowa Ukrainy stanowi ogromną szansę dla polskich firm. Mimo to Polska ma mniej niż 1% udziału w inwestycjach zewnętrznych w Ukrainie. Dużo większy mają kraje skandynawskie, Holandia, Turcja, USA. Dlaczego polskie firmy wciąż czekają?

W Ukrainie działa około 2000 firm z polskim kapitałem. Jesteśmy znaczącym eksporterem. Polskie firmy są obecne w Ukrainie, zazwyczaj te sprzed 2014 lub 2022 roku. Dominują branże rolno-spożywcza, IT i logistyka, w której Polska odgrywa kluczową rolę.

Trwa wojna. Polska szybko się rozwija, lecz cały czas nie ma tak dużych zasobów kapitałowych jak Skandynawowie. Polscy przedsiębiorcy wolą inwestować u siebie, gdzie ryzyko jest niższe. To naturalne. Potencjalni inwestorzy czekają na pełnoskalową odbudowę i fundusze instytucji międzynarodowych, takich jak Bank Światowy. To postawa typu: „poczekaj i zobacz”.

Inwestowanie to kupowanie ryzyka, a wysokie ryzyko wymaga dużej stopy zwrotu, której dziś nie widać. Duże fundusze, jak amerykański Rockbridge, wycofały się z planów odbudowy. W to miejsce próbują wejść państwowe fundusze: polskie, francuskie, niemieckie. Firmy państwowe mają inne bodźce do inwestowania, często polityczne.

Nie da się abstrahować od obecnego momentu. Przykładowo, w ostatnich dniach lipca 2025 roku mamy do czynienia ze wzmożeniem ataków, w tym z niedawnym atakiem na Lwów. Nastroje są gorsze, a perspektywy mgliste. Wzrasta zmęczenie, choć Ukraińcy przestali reagować paniką. Codzienne, wielogodzinne ataki trwają, ludzie pracują i niestety często giną. Nasza percepcja, a także percepcja Ukraińców mieszkających w Ukrainie, zmieniła się. Wierzę, że odbudowa będzie bardzo dobrym tematem inwestycyjnym dla polskich firm – dużych, państwowych i nieco mniejszych, a także nie-

których dużych prywatnych. Jednak kluczową rolę odgrywają politycy, którzy muszą zapewnić bezpieczeństwo. Nie budowałbym fabryki szkła w Ukrainie, mimo że jest ono bardzo potrzebne w odbudowie, jeśli istnieje ryzyko, że zostanie ona zniszczona przez rosyjskie rakiety. Rosjanom o to chodzi, aby odstraszać kapitał, by zależność Ukrainy od wsparcia zewnętrznego była duża. To politycy muszą zapewnić to, co miało być gwarantowane w Memorandum Budapeszteńskim.

Niemiecki rząd przygotował kompleksową strategię odbudowy Ukrainy. Tymczasem polskiemu państwu brakuje spójnego strategicznego podejścia. Polska polityka wydaje się reaktywna i krótkoterminowa, oparta na sondażach, a nie na głębszym rozumieniu interesu państwa.

Istnieją dwie płaszczyzny: rzeczy zależne od nas i niezależne. Płaszczyzna szeroko pojętego bezpieczeństwa to geopolityka, w której musimy być reaktywni na propozycje Stanów Zjednoczonych, ponieważ są one największym graczem. Niewątpliwie ponosimy konsekwencje wyboru Donalda Trumpa na prezydenta USA. Pełnoskalowa odbudowa Ukrainy nie nastąpi bez zakończenia wojny i ustanowienia warunków pokoju. Rosja także ponosi poważne konsekwencje ekonomiczne, a historie wojen na wyczerpanie pokazują, że sukces zależy od wytrzymałości gospodarczej i zaplecza.

Klimat inwestycyjny jest współtworzony przez polityków. Przedsiębiorcy, mówiąc o gwarancjach finansowych i bezpieczeństwa, kierują się sygnałami płynącymi od władzy. Co można zrobić, aby zmienić ten stan rzeczy?

To jest rola przywództwa. Politycy, jeśli chcą być prawdziwymi liderami, muszą wykazać się odwagą. Taką odwagę mieli ci, którzy działali po 24 lutego 2022 roku. Rząd PiS zachował się właściwie w pierwszym roku wojny, co odzwierciedlało fenomenalne poparcie Polaków dla Ukraińców.

Sytuacja zmieniła się gwałtownie w 2023 roku, po tym jak rząd Morawieckiego, nierozważnie, pozwolił na niekontrolowany wjazd ukraińskiego zboża do Polski. Równocześnie proces sprzedaży polskich wiz w Afryce i Azji przyczynił się do wzrostu nastrojów antyimigracyjnych, a częściowo także antyukraińskich.

Polska gospodarka potrzebuje ukraińskich pracowników. Gdyby około miliona Ukraińców pracujących w Polsce wyjechało, mielibyśmy poważne problemy z brakiem rąk do pracy i przyszłością systemu emerytalnego. Polska straci swój sukces gospodarczy, jeśli zabraknie pracowników. Nawet dla środowisk nacjonalistycznych lepiej, aby pracownikami byli Ukraińcy, jako kulturowo nam najbliżsi, niż osoby z krajów kulturowo odległych. Ukraińcy integrują się z Polską i Polakami w sposób fenomenalny.

Postrzegam to w ten sposób, że rola przywództwa jest bardzo duża. Zastanawiam się również, dlaczego polski rząd tak jednoznacznie deklaruje, że w przypadku misji pokojowej polscy żołnierze nie będą bronić Lwowa, podczas gdy polscy żołnierze na sygnał Amerykanów bronili Afganistanu, Iraku, Kosowa czy Bośni i Hercegowiny, i niektórzy tam ginęli. Nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy we własnym interesie bronić ukraińskiego Lwowa przed Rosją.

Rosjanie byli i są mistrzami propagandy, często bardzo zaawansowanej. Fakt, że ktoś zaprzecza Holokaustowi w Polsce, w której miliony polskich Żydów zostało wymordowanych, i zyskuje poparcie, jest zatrważający. Dla mnie jest oczywiste, że to produkt rosyjskiej propagandy, być może cyniczne działanie, ale spowodowane czynnikami wytworzonymi przez Rosjan.

Cieszę się, że rozmawiamy o Wołyniu i że odbywają się ekshumacje, a potomkowie ofiar mają oczywiste prawo do pochówku. Musimy jednak mieć świadomość, że w naszym świecie wydarzyło się wiele takich tragedii. Właśnie obchodziliśmy 30. rocznicę mordu w Srebrenicy. Fakt, że dziś mówimy o Wołyniu w większym stopniu niż kiedyś, jest bardzo korzystny dla Rosjan, ponieważ nakręca emocje w sposób, który może być wykorzystany przeciwko nam. W świecie mediów społecznościowych musimy mieć świadomość takich mechanizmów.

Mogę dodać ze swojego doświadczenia: nie mam rodzinnej pamięci związanej z dawnymi Kresami. Pochodzę z Zagłębia Dąbrowskiego i Warszawy. Staram się podchodzić do tego analitycznie. Ukraińcy też są bardzo zróżnicowani – są Ukraińcy z Kijowa, Wołynia, okręgu lwowskiego. Wielu Ukraińców, z którymi rozmawiałem, zwłaszcza tych spoza Lwowa i okolic, nie ma żadnej wiedzy o Wołyniu, nigdy nie byli tego uczeni. Ja sam, rocznik 1974, nie uczyłem się w szkole podstawowej o agresji sowieckiej na Polskę 17 września czy o polskich obrońcach Lwowa z 1920 roku. We Lwowie mamy pomnik Orląt Lwowskich, co należy docenić. Ukraińcy często nie wiedzą, jak Polakom kojarzyły się pewne wydarzenia, ponieważ nigdy się z tym nie

**GDYBY OKOŁO MILIONA UKRAIŃCÓW
PRACUJĄCYCH W POLSCE WYJECHAŁO,
MIELIBYŚMY POWAŻNE PROBLEMY Z BRAKIEM
RĄK DO PRACY I PRZYSZŁOŚCIĄ SYSTEMU
EMERYTALNEGO.**

spotkali. Jest to wynik dekad władzy sowieckiej, czyli moskiewskiej i wymazania pewnych elementów z naszej pamięci historycznej.

Mam podobne obserwacje. Rozmawiałem z politykami i aktywistami litewskimi, którzy byli zaskoczeni, że Polacy traktują ich jako dawną kolonię. Twierdzą, że Litwini wolą unikać tematu Polski, ponieważ nieustannie pojawia się wątek historycznych konfliktów. Historia nie została zamknięta, jest ciągle podsycana, również przez rosyjską propagandę i manipulacje.

Ukraińcy wykazują inną postawę. Ja nie mam żadnych przodków na dawnych Kresach. Na Litwie, w Wilnie, byłem tylko raz w życiu, jako prezes PKP. Miałem wrażenie, jakbym odpowiadał za prawdziwe i domniemane winy Polaków w relacjach z Litwinami. Zauważyłem również, że ślady polskości Wilna są nieliczne i Litwini je pomijają. Mówię to z zastrzeżeniem, że jest to moje bardzo subiektywne doświadczenie z jednej wizyty.

W Ukrainie natomiast, we Lwowie, szczył się polskością miasta. Wszędzie, gdzie tylko pojawia się jakiś stary napis w języku polskim, pieczętowanie go odrestaurowują, nawet w warunkach wojny. Na Cmentarzu Łyczakowskim znajduje się pomnik dzieci, które walczyły z Ukraińcami o Lwów dla Polski. Spacerując po Lwowie, często słyszy się określenia typu: „ten dom austriacki”, „ten dom polski” – to jest zupełnie normalne.

Kiedy próbuję mówić po ukraińsku, ale wychodzi mi po rosyjsku, bo znam go jeszcze ze szkoły, bywa, że proszą, abym przestał mówić po rosyjsku i zaczął mówić po polsku. To jest dość pouczające. Z jednej strony mamy Wołyn, o którym akurat rozmawiamy, a z drugiej strony – we Lwowie nigdy nie spotkałem się z żadnym sygnałem, że bycie Polakiem stanowi problem. Takie mam doświadczenie.

Doświadczałem w Kijowie wielu gestów wdzięczności i sympatii wobec Polski. Dwa duże kraje – jeden w Unii Europejskiej, drugi z ogromnym potencjałem kulturowym, strategicznym i silną armią – to unikalne sąsiedztwo w Europie. Nie ma dwóch państw z porównywalnym napędem do życia. Co zrobić, aby ten potencjał nie zamienił się w pretensje, historyczne rozliczenia czy podatność na rosyjską manipulację?



JAKUB KARNOWSKI

polski ekonomista,
finansista
i menedżer, w latach
2012–2015 prezes
zarządu Polskich Kolei
Państwowych S.A. Od 1
marca 2025 roku prezes
Kredobanku. Wykładowca
w Szkole Głównej Hand-
lowej, autor publikacji
z zakresu makroekonomii
i finansów. Członek
rady Fundacji Wolności
Gospodarczej
CFA Society of Ukraine
(CFA Institute), American
Economic Association
i Towarzystwa Ekono-
mistów Polskich. Jakub
Karnowski będzie mówcą
Impact Bucharest.

JERZY WÓJCIK

wieloletni wicenaczelnik
„Gazety Wyborczej”,
w latach 2016–2021
jej wydawca. Obecnie
związany z think-tankiem
Media Liberation Fund.
Inicjator ukraińsko-
polskiego magazynu
sestry.eu.

Ukraina potrzebuje sprawiedliwego pokoju. Taki pokój będzie niezwykle korzystny dla Polski i dla polskich przedsiębiorców, a tym samym dla wszystkich Polaków. Polska może wkrótce stracić dotychczasowe motory wzrostu, które przez ostatnie 30 lat napędzały proces nadganiań gospodarczego, perspektywę wejścia do Unii Europejskiej i fundusze strukturalne, co przyczyniło się do naszego gigantycznego sukcesu.

Jeśli chcemy utrzymać tempo wzrostu i zapewnić przyszłość naszym dzieciom, musimy doprowadzić do sprawiedliwego pokoju w Ukrainie. Dlaczego? Ponieważ Ukraińcy pomogą nam w dalszym rozwoju. Część z nich już pracuje w Polsce i będzie pracować nadal. Będą też najbliżsi nam kulturowo ze wszystkich obcokrajowców, którzy muszą pracować w Polsce, ponieważ bez nich polska gospodarka nie będzie się rozwijać.

Polskie przedsiębiorstwa muszą inwestować w Ukrainie, aby realizować interesy podobne do tych, które prowadziły firmy zachodnie, np. niemieckie, w okresie gdy Polska wchodziła do Unii Europejskiej. Polskie banki i przedsiębiorstwa mogą odbudowywać Ukrainę, korzystając z funduszy instytucji międzynarodowych działających w warunkach powojennych. Bank Światowy i Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju, które w przeszłości wspierały rozwój Polski, mogą odegrać podobną rolę. Musimy w pozytywnym sensie przejąć kontrolę nad tymi pieniędzmi i zarabiać na odbudowie Ukrainy.

To znane mechanizmy, ale warunkiem podstawowym jest pokój w Ukrainie, co oznacza, że rosyjskie rakiety muszą przestać zabijać ukraińskie dzieci i kobiety, tak jak działało się to w Polsce, np. we wrześniu 1939 roku. USA ma na to największy wpływ. Mamy bardzo dobre przywództwo w Polsce. Myślę głównie o premierze Tusku i Radosławie Sikorskim. Sikorski jest idealnym ministrem spraw zagranicznych. Mam nadzieję, że prezydent USA Donald Trump przekona się ostatecznie, kto jest prawdziwym wrogiem i będzie działał na rzecz tych, którzy z tym wrogiem aktywnie walczą. Na przełomie lipca i sierpnia wydaje się, że zaczyna rozumieć, kim jest Putin. ■

POWINNIŚMY BYĆ LIDEREM BEZPIECZEŃSTWA KOSMICZNEGO



Sławosz Uznański-Wiśniewski, drugi Polak w historii, który znalazł się w przestrzeni kosmicznej. Podczas pobytu na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej wykonał 13 eksperymentów naukowych w ramach misji Ignis. Był mówcą Impact'24.

Misja „Ignis” zwiększyła w Polsce zainteresowanie kosmosem. Skorzystać mogą na tym również rodzime firmy. Jak wygląda krajobraz polskiego sektora i jaką rolę w jego rozwoju pełni Polska Agencja Kosmiczna? Na te pytania odpowiada Marta Ewa Wachowicz, prezes POLSY.

Marta Ewa Wachowicz

w rozmowie
z Marcinem Haberem, Wirtualna Polska

Marcin Haber, Wirtualna Polska: Dlaczego Polska nadal nie ma Krajowego Programu Kosmicznego? Co w praktyce oznacza dla sektora jego brak?

Marta Ewa Wachowicz, prezes Polskiej Agencji Kosmicznej: To wszystko są naczynia połączone. Oczywiście możemy dyskutować o błędach ostatnich kilkunastu lat. Jestem w sektorze od dawna i mam swoją refleksję na ten temat. Mamy jednak świetny moment dla rozwoju branży w Polsce, więc trzeba zacząć toczyć szeroki dialog na temat kosmosu.

Nie będzie lepszego momentu niż tuż po misji Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego.

Tak, Sławosz nam to umożliwił. Nie chodzi tutaj już tylko o to, co będzie po misji, tylko o włączenie go na poziomie intelektualnym w dyskusję o sektorze. Nie sprowadzamy misji „Ignis” do pomidorówki i pierogów. Ja oczywiście rozumiem, czemu te tematy są poruszane i co Sławosz robił w telewizjach śniadaniowych. To też jest ważne, bo budzi społeczną ciekawość i nie należy tego lekceważyć ani piętnować. Jest jednak idealny moment włączenia go w nurt opowieści o tym, jaka Polska ma być. Rozmawiamy o tym, jakim chcemy być krajem, z jakim przemysłem kosmicznym, z jakimi aspiracjami i ambicjami.

To jakim Pani zdaniem chcemy być krajem? Jakie powinniśmy mieć ambicje?

Moim zdaniem w tej chwili jest wola rządu, zgoda społeczna i odpowiedni moment rozwoju technologii oraz polskich podmiotów związanych

z sektorem na to, abyśmy zajęli jakąś niszę w Europie. Lider szeroko rozumianego bezpieczeństwa kosmicznego to jest coś, do czego powinniśmy aspirować. To zaspokaja nasze ambicje i łączy większość wątków strategicznych. Ze względu na położenie i geopolitykę jesteśmy krajem, który musi szczególną uwagę poświęcać bezpieczeństwu. Są to hasła naszej prezydencji, premier również podkreślał to wielokrotnie. Jest zgoda społeczna na duże wydatki na obronność. Jest więc doskonały moment, aby podjąć dyskusję, jak w tej obronności i bezpieczeństwie uplasować kosmos.

Czy sektor kosmiczny może – trochę po cichu – zostać beneficjentem wzrostu wydatków na obronność?

Niekoniecznie po cichu. Jako kraj jesteśmy na tym poziomie dojrzałości, że możemy sobie powiedzieć, co dotyczy obronności, a co bezpieczeństwa samego w sobie.

I downstream i upstream, czyli to, co obserwujemy z kosmosu i to, co tam wysyłamy, wpływają na nasze bezpieczeństwo. Dlatego powinniśmy o tym mówić nie po cichu, ale mieć to na sztandarach. Jest jeszcze drugi, może trochę nieoczywisty aspekt, czyli technologie dual-use (podwójnego zastosowania – przyp. red.), które również się do tego przyczyniają.

Dla ludzi jest już oczywiste, że obserwowanie Ziemi z kosmosu wpływa pozytywnie na życie obywateli. Mało kto wyobraża sobie już bowiem jeżdżenie samochodem bez nawigacji, która pokaże, jak uniknąć korków czy dotrzeć do celu. To już jest tak oczywiste, że chyba nie warto tego powta-



Marta Ewa Wachowicz

– prezes Polskiej Agencji Kosmicznej (od kwietnia 2025 roku). Zdobyła tytuł doktora nauk fizycznych w dziedzinie fizyki kosmicznej w Centrum Badań Kosmicznych Polskiej Akademii Nauk. Uczestniczyła w tworzeniu Polskiej Agencji Kosmicznej i konstruowaniu modelu jej działania. W latach 2015–2018 kierowała Departamentem Strategii i Współpracy Międzynarodowej Polskiej Agencji Kosmicznej. Tworzyła i nadzorowała wdrażanie mechanizmów wsparcia merytorycznego dla przedsiębiorców sektora kosmicznego w zakresie gospodarczej współpracy międzynarodowej.

POLSKA POWINNA SIĘ BARDZIEJ KONCENTROWAĆ NA ROZWOJU TWARDYCH TECHNOLOGII I NASZEGO POTENCJAŁU W TWORZENIU SATELITÓW I SYSTEMÓW OBRONNOŚCI.

rzać. Mniej oczywiste jednak jest to, że potrzebujemy zobrazowań w innym zakresie spektralnym. A my to robimy. Ministerstwo Obrony Narodowej ostatnio podpisało kontrakty na dostarczenie zobrazowania typu SAR (Synthetic Aperture Radar – sztuczna apertura – przyp. red.). To jest kolejny etap rozwoju. Będziemy patrzeć na Polskę i kraje sąsiednie z dużo większą szczegółowością. Te dane będą zupełnie innej jakości. Daje to dostęp do nowych informacji.

Przez lata powtarzano, że polskie firmy i instytucje są świetne w tworzeniu oprogramowania dla misji kosmicznych i przetwarzaniu danych przesyłanych na Ziemię. Czy to jest szczyt naszych ambicji?

Absolutnie nie. Zgadzam się, że jesteśmy świetni w tworzeniu software'u, wiemy, że za sukcesami wielu firm z sektora IT stoją polscy programiści. To nas bardzo cieszy, ale nie zgadzam się z tym, że to jest szczyt naszych ambicji. Od lat budujemy bowiem instrumenty kosmiczne. Jest to bardzo niszowe i specjalistyczne, ale też bardzo prestiżowe. Bariera wejścia na ten rynek jest gigantyczna. Centrum Badań Kosmicznych zaprojektowało, zbudowało, przetestowało i wysłało w kosmos już kilkadziesiąt instrumentów. W czołowych misjach europejskich, ale nie tylko, mamy obecne polskie elementy. To jest powód do dumy, ale też dowód, że potrafimy robić precyzyjną elektronikę czy optoelektronikę. Myślę więc, że podzespoły elektroniczne, czujniki i sensory, to może być nisza, w której Polska może sobie świetnie radzić.

Mamy oczywiście także większe ambicje, związane z platformami satelitarnymi czy małymi satelitami. Jak w każdym biznesie ważna jest jednak specjalizacja. Nie możemy rozwijać wszystkiego. Uważam, że nadal jest za mało polskich produktów na tym rynku. Nie podbijamy go żadnym oprogramowaniem czy dedykowanym wyłącznie dla zastosowań kosmicznych rozwiązaniem.

Mamy na rynku przykłady firm, które odnoszą sukces i tworzą duże projekty w sektorze kosmicznym. Takie nazwy jak Creotech, ICEYE czy Scanway nie są już anonimowe.

Wymienił pan nasze perełki, które są powodem do dumy. To podmioty, które się bardzo szybko rozwinęły, znajdując sobie miejsce na rynku i są bardzo ważne również w aspekcie bezpieczeństwa dla sfery publicznej, bo realizują kontrakty rządowe. Mamy jednak również bardzo dużo firm

średnich rozmiarów, które zdobywają coraz szerszy segment rynku europejskiego. Patrząc przekrojowo, ten sektor rozrasta się wśród małych, średnich i dużych przedsiębiorstw. Można śmiało powiedzieć, że mamy tu do czynienia ze zrównoważonym rozwojem.

Pytałem o polskie firmy, bo sporo jest dyskusji o tym, czy my faktycznie odbieramy to, co Polska wpłaca do ESA w ramach składek. Czy nasz rynek jest na tyle dojrzały, aby tak duże środki absorbować? Czy to, że rynek jest w stanie te pieniądze spożytkować, można w ogóle nazwać wyznacznikiem dojrzałości branży?

To jest dobre pytanie, czy ten wskaźnik jest faktycznie miernikiem rozwoju rynku. Po części trzeba się z tym zgodzić. Chociażby dlatego, że jest niewiele innych wymiennych danych. Z samą przynależnością firm do sektora jest bowiem dużo komplikacji, chociażby przez kody PKD.

Pamiętajmy jednak, że to jest sprzężenie zwrotne. Firmy konsumują środki, więc jest na nie większe zapotrzebowanie, więc rządy krajów członkowskich zwiększają kontrybucję do ESA. Myślę jednak, że im bardziej dojrzały jest sektor kosmiczny w danym kraju, tym rozsądniejsze jest, aby taki miernik stosować. My nadal jesteśmy jednak na etapie zaawansowanym, ale wciąż początkowym. Nie da się tego oczywiście porównać z sytuacją z 2012 roku, ale wciąż jeszcze nie mamy jasnej strategii kosmicznej, do której firmy mogą się dostosować. To jest sektor, który wymaga czasu, wielkich nakładów i cierpliwości. Jeśli rząd wskaże kierunek, że np. inwestujemy w budowę satelitów, badania Ziemi albo jeszcze coś innego, to firmy i instytucje się do tego dostosują. Wtedy też konsumpcja środków jest większa, bo zapewniona jest stabilność i przewidywalność. Coś, co podmioty gospodarcze lubią i czego potrzebują.

Ostatnie lata są trudne do porównania. W czasie obowiązywania ram finansowych Europejskiej Agencji Kosmicznej Polska zwiększyła składkę. Stało się to ku zaskoczeniu sektora i podmiotów gospodarczych. Nie wszyscy umieli się przygotować. To kwestia zatrudnienia ludzi, zbudowania linii produkcyjnych i testowych. Firmy powinny też myśleć o nowych konsorcjach, projektach, skalować się. Biorąc pod uwagę, że były zaskoczone, to poradziły sobie bardzo dobrze.

Patrząc na wykorzystanie tych środków, możemy obserwować, w jakich obszarach rozwój rynku kosmicznego idzie nam lepiej, a w których trochę wolniej. Trzeba rozumieć jednak specyfikę rynku. Wiadomo, że łatwiej jest robić aplikacje satelitarne niż budować eksperymenty.

W Pani odpowiedzi wybrzmiewa to, od czego zaczęliśmy rozmowę – brak Krajowego Programu Kosmicznego i strategii rozwoju sektora kosmicznego.

Ta strategia właśnie się kształtuje. Krajowy Program Kosmiczny to dokument ją wykonujący, więc to następny krok, na którym wolałabym się teraz nie koncentrować, bo to sprawa czysto operacyjna.

Natomiast faktycznie uważam, że musimy zdecydowanie przededefiniować Polską Strategię Kosmiczną do 2023 roku – bo taki jest jej oficjalny tytuł – bo ona nie wyznacza nam ambitnych celów i sprawdza się do większego wykorzystania danych satelitarnych i ogólnego rozwoju technologii.

Sama jej nazwa wskazuje, że warto by się było nad nią pochylić...

Dokładnie tak. Patrząc na obecną aktywność i inwestycje rządu, na wskazywanie kierunku bezpieczeństwa jako priorytetu, myślę, że jesteśmy chwilę przed nazwaniem wielu pomysłów bardzo konkretnie, nałożeniem na nie ram naszych ambicji i spisaniem tego jako dokumentu. Mam wrażenie, że jesteśmy w momencie obserwowania, jak nowa strategia się wykuwa.

Jesienią odbywa się Rada Ministerialna Europejskiej Agencji Kosmicznej. Coraz częściej można usłyszeć plotki, że Polska może starać się o dołączenie Sławosza do korpusu astronautów ESA. Czy powinniśmy mieć takie ambicje?

Mogę powiedzieć o naszych ambicjach technologicznych. Dla mnie jasne i czytelne jest, że chcemy brać udział w misjach na Księżyc i Marsa czy tworzenia satelitów w ramach programu „Resilience From Space”. To jest kierunek naszych ambicji i aspiracji jako kraju, który chce rozwijać PKB poprzez wspieranie sektora kosmicznego.

Nie będę komentować przygotowań do Rady Ministerialnej, bo to zadanie właściwego ministra ds. gospodarki. Dopuszczam myśl, że rozważany jest również scenariusz lotów zało-

gowych. Dla mnie to jest jednak bardziej wizja. Polska w tej chwili powinna się bardziej koncentrować na rozwoju twardych technologii i naszego potencjału w tworzeniu satelitów i systemów obronności. Liczę na naszego astronautę, który może być ambasadorem rozwoju technologii dual-use i wspieraniu zmiany kierunków myślenia przez ESA, czyli większego otwarcia na tematykę bezpieczeństwa.

Powiedziała Pani o Księżycu i Marsie. Skupmy się na naturalnym satelicie Ziemi. Czy Polska ma ambicję, aby mocno włączyć się w program „Artemis”? Czy będziemy wysyłać na Księżyc swoje urządzenia?

Widzimy potrzebę zaangażowania w eksplorację zarówno Księżyca, jak i Marsa. Chodzi tu o szukanie pierwiastków ziem rzadkich, technologie odzyskiwania wody, pozyskiwania tlenu, wydajne systemy zasilania. Jest mnóstwo wyzwań technologicznych ściśle związanych z uczestnictwem w misjach księżycowych. Technologicznie zarówno misje na Księżyc, jak i na Marsa to absolutnie nasze aspiracje. Jest to kontynuacja tego, co robimy od lat. Nasi naukowcy tworzą instrumenty, które temu służą. Mamy już bardzo duże portfolio takich projektów.

Stany Zjednoczone podczas poprzedniej kadencji prezydenta Donalda Trumpa stworzyły komponent wojsk kosmicznych, pokazując w ten sposób, jak ważnym obszarem działań wojskowych jest kosmos. Czy polskie Ministerstwo Obrony Narodowej również zdaje sobie z tego sprawę?

MON myśli o kosmosie bardzo poważnie. Z wielkim entuzjazmem obserwuję zmianę podejścia w tym zakresie. Wojsko chce inwestować i inwestuje w nowoczesne technologie, jak chociażby umowa z maja na satelitarny system rozpoznania mikroSAR (umowa MON z konsorcjum utworzonym przez firmę ICEYE oraz Wojskowe Zakłady Łączności Nr 1 – przyp. red.). Działania są bardzo profesjonalne i pokazujące, że nasze siły zbrojne traktują tę przestrzeń kosmiczną jako i narzędzie do obrony, i zbierania informacji. Mnóstwo dzieje się w spółkach technologicznych Polskiej Grupy Zbrojeniowej i instytucjach naukowych, ale z oczywistych względów nie możemy o tym mówić. ■

Kosmos stał się nową przestrzenią dla biznesu. Na Impact, w ramach ścieżki Space, rozmawiamy z przedstawicielami firm oraz instytucji związanych z polskim i światowym sektorem kosmicznym. Warto również zauważyć, że w 2027 roku Poznań będzie gospodarzem 78. Międzynarodowego Kongresu Astronautycznego (IAC).

Z GÓRY WIDAĆ WSZYSTKO

Rafał Modrzewski, prezes firmy ICEYE: Dane satelitarne pokazują rzeczywistość taką, jaka ona jest. To coraz ważniejsze w czasach, gdy trudno polegać na informacjach z internetu i mediów. Chcemy, aby dostęp do takich danych mieli także zwykli obywatele.

RAFAŁ MODRZEWSKI

w rozmowie
z Marcinem Żyłą

RAFAŁ MODRZEWSKI

jest dyrektorem generalnym i współzałożycielem ICEYE, polsko-fińskiej firmy, która jest właścicielem i operatorem największej na świecie konstelacji satelitów radarowych z syntetyczną aperturą (SAR).



Zna Pan zdjęcie „Pale Blue Dot”?

Znam. Zrobiła je sonda Voyager 1.

35 lat temu, gdy opuszczała już Układ Słoneczny, astronom Carl Sagan namówił NASA, aby skierowała obiektyw w stronę Ziemi. Tamto zdjęcie – nasza planeta z oddali, niczym przypadkowy piksel – zainspirowało filozofów i artystów. Obrazy powierzchni Ziemi, które dostarcza ICEYE – pełne detali, wykonywane z orbity – są w pewnym sensie przeciwieństwem „Pale Blue Dot”. Gdy Pan na nie patrzy, jakie uczucia Panu towarzyszą?

Niezależnie od tego, ile satelitów umieściliśmy już na orbicie, zawsze gdy rakieta unosi się nad platformą startową, czuję fascynację pięknem technologii. Podobnie jest z naszymi obrazami. Potrafimy obserwować Ziemię w nocy, przez chmury, z małego satelity, który znajduje się 600 kilometrów wyżej. To techniczne czary-mary.

Na czym to czary-mary polega?

Musimy wychwycić delikatną falę radiową, którą nasze satelity wysyłają w kierunku powierzchni. Ta fala, o sile około 5 kW – czyli pięciu kucharek mikrofalowych – odbija się od obiektów na Ziemi, po czym wraca, bardzo osłabiona. Rejestrujemy ją kilka tysięcy razy w ciągu minuty, po czym łączymy. Dzieje się to przy prędkości 7 km na sekundę.

Korzystamy z radaru z tzw. syntetyczną aperturą, bardzo wydajnych kart graficznych oraz algorytmów tworzonych przez nasz zespół programistów, które umożliwiają łączenie odbitych od powierzchni sygnałów.

To, co ostatecznie powstaje, to nie zdjęcie, lecz właśnie obraz radarowy – niezależny od światła, oparty na falach radiowych. Co na nim widać?

Aparat fotograficzny rejestruje odbicie światła widzialnego, które pochodzi od słońca bądź lampy błyskowej. Światło, czyli fale elektromagnetyczne o bardzo wysokiej częstotliwości, odbijają się od obiektów różnie, w zależności od ich struktury. Fale światła widzialnego mają też różne częstotliwości – czyli różne kolory – i mieszczą się w przedziale 380–780 nanometrów.

Nasza technologia opiera się jednak na falach znacznie dłuższych, o długości mniej więcej trzech centymetrów. Dzięki temu możemy penetrować chmury. Satelity mierzą, ile fali wraca po odbiciu z konkretnego miejsca na powierzchni Ziemi. Mamy kilka trybów obrazowania. Potrafimy na przykład wykonać zobrazowanie obszaru 100 na 100 kilometrów, ale również takie o rozmiarach 5 na 5 kilometrów i rozdzielczości 25 centymetrów. W ICEYE wymyśliliśmy też sposób, jak do takiego obrazu dodać kolor, który pomaga szybciej wykrywać zmiany na powierzchni.

Jakie te obrazy mają zastosowanie?

W każdej dziedzinie, w której potrzebujemy informacji na temat tego, co się dzieje na powierzchni planety. Na-

DOSTĘP DO USŁUG I PRODUKTÓW, KTÓRE MOŻEMY UZYSKAĆ DZIĘKI PRZEMYSŁOWI KOSMICZNEMU, JEST KLUCZOWY DLA STABILNOŚCI PAŃSTW I REGIONÓW.

zwa ICEYE pochodzi od słów „ice” i „eye” – zaczynaliśmy bowiem od analizy obszarów lodowych na Oceanie Arktycznym. Obrazowaliśmy też wycinki i pożary w Puszczy Amazońskiej. Teraz najważniejszym zastosowaniem jest obronność, informacje wywiadowcze.

W obrazowaniu Ziemi z kosmosu przez dekady dominowali Amerykanie. Na przełomie wieku zaczęło się wręcz wydawać, że za sprawą Google Earth tabliczki „zakaz fotografowania” przestały mieć sens.

Ludzie często pytają o różnicę między zdjęciami z Google’a a naszym obrazowaniem. Te pierwsze są aktualizowane najczęściej raz na kilka miesięcy. Co więcej, muszę przyznać, że nasza planeta nie jest zbyt fotogeniczna. Wykonywane z kosmosu zdjęcia jej powierzchni wyglądają z reguły źle – chyba że lubimy patrzeć na chmury... W ICEYE jesteśmy natomiast w stanie wykonywać obrazy tego samego obiektu czy miejsca na Ziemi co mniej więcej godzinę, z taką samą dokładnością, niezależnie od pogody i pory dnia.

To wręcz niewiarygodne, jaki postęp dokonał się od lat 60. XX wieku, kiedy Amerykanie wykonywali zdjęcia nad Związkiem Radzieckim. Albo od pierwszych satelitów wojskowych fotografujących Ziemię na zwykłej kliszy, która potem wracała na spadochronie na powierzchnię. Były to lata „szalonej inżynierii”, ale coś łączy je z naszą epoką. Ponieważ nad niektóre miejsca nie dało się dotrzeć samolotem, zaczęliśmy wtedy korzystać z satelitów. Także dziś systemy satelitarne umożliwiają obserwowanie każdego miejsca na Ziemi. Obecnie chodzi też jednak o to, aby takie możliwości miały nie tylko wielkie mocarstwa.

Warto dodać, że i Google Earth, i bardziej zaawansowane, wojskowe systemy amerykańskie również podlegają cenzurze. A ściślej: dostęp do nich może zostać nagle i niespodziewanie odcięty, choćby za sprawą decyzji politycznych.

Od kilku lat trwa dyskusja o tzw. shutter control, czyli „dostępie do migawki”. Rywalizują ze sobą nie tylko mocarstwa, ale też „old space” i „new space”. Z jednej strony mamy wielkie firmy, obecne na orbicie od dekad – Boeing, Lockheed Martin czy Airbus. Z drugiej: wiele mniejszych – w tym ICEYE – które w ostatniej dekadzie umieściły na orbicie kilka razy więcej satelitów. Już to spowodowało zmianę w sposobie wykorzystywania zdjęć satelitarnych oraz dostępnie do nich.

Dlaczego warto posiadać własny przemysł kosmiczny?

Ponieważ dostęp do usług i produktów, które możemy uzyskać dzięki przemysłowi kosmicznemu, jest kluczowy dla stabilności państw i regionów. To tak jak z posiadaniem własnego przemysłu energetycznego czy zbrojeniowego. Stawką jest bezpieczeństwo Polski i Unii Europejskiej. Nie chodzi wyłącznie o ochronę przed atakiem przez wroga wojska, ale także o stabilność granic, bezpieczeństwo mi-

gracyjne czy związane z katastrofami naturalnymi. Do tego wszystkiego potrzebny jest przemysł kosmiczny.

Następnie musimy sobie zadać pytanie, czy faktycznie chcemy być uzależnieni od innych państw i korporacji, które takie technologie dostarczają.

Już od ponad trzech lat ICEYE współpracuje z Ukrainą. W ostatnich miesiącach ta współpraca stała się jeszcze bardziej intensywna.

Na czym polega?

Wspieramy Ukrainę od samego początku wojny. ICEYE zarządza największą w świecie flotą mikrosatelitów zajmujących się obrazowaniem radarowym – do tej pory z powodzeniem wynieśliśmy 54 satelity na potrzeby własne i naszych klientów.

Dostarczamy Ukrainie zobrazowania, które mają dla niej dużą wartość wywiadowczą. Nie wiem, do czego dokładnie wykorzystują te zdjęcia. Dostajemy jednak informacje – strona ukraińska publikuje je w internecie – że nasze zdjęcia radarowe są szalenie przydatne w ich codziennych działaniach na froncie. To zresztą zostało zauważone na całym świecie – i śladem Ukrainy podążają już inne państwa. Nowe doktryny wojskowe zakładają budowę kolejnych konstelacji takich satelitów. Sytuacja zaczyna przypominać tę ze sztuczną inteligencją: pojawia się nowa technologia, która błyskawicznie staje się nie tylko przydatna, ale wręcz niezbędna.

Polska jest jednym z pierwszych krajów, który już inwestuje w tę technologię – w maju podpisaliśmy kontrakt na dostawę trzech satelitów na potrzeby Sił Zbrojnych RP. To wielka rzecz – umieścimy na orbicie pierwszego polskiego wojskowego satelitę. Generalnie, kiedyś zdolności satelitarne były zarezerwowane dla wąskiej grupy państw, które przeznaczały duże środki na programy kosmiczne – my od początku istnienia ICEYE chcemy demokratyzować dostęp do danych satelitarnych.

Dlaczego? Co taka demokratyzacja oznacza?

Wolny i łatwy dostęp do danych satelitarnych. Dla wszystkich. Nie tylko dla rządów, również dla obywateli i biznesu. Dane satelitarne pokazują rzeczywistość taką, jaka ona jest. A to staje się coraz ważniejsze obecnie, gdy coraz trudniej polegać na informacjach z internetu i innych mediów. Sztuczna inteligencja skomplikuje to jeszcze bardziej. Żyjemy w czasach, w których dostęp do informacji, na której można polegać, jest coraz trudniejszy.

A przecież bez niezależnych źródeł informacji nie da się podejmować decyzji. Celem ICEYE jest stworzenie systemu, który umożliwi zwiększenie dostępu do informacji. Jeśli wszyscy wiemy, jaka naprawdę jest rzeczywistość, jesteśmy w stanie o niej rzeczowo rozmawiać. ■

Rafał Modrzewski był mówcą Impact’25 w ramach ścieżki Space.

WODA CENNIJSZA NIŻ ROPA

Do połowy XXI w. co czwarty mieszkaniec Ziemi może mieć problemy z dostępem do wody.

To gotowy przepis na wojnę.

TEKST: Kasper Kalinowski

Konflikty o wodę towarzyszą nam od zarania cywilizacji. To niedobory wody były przyczyną upadku starego królestwa w starożytnym Egipcie, cywilizacji Majów czy Khmerów w Kambodży. Najwcześniejszy udokumentowany spór o wodę toczył się między miastami-państwami Umma i Lagasz w starożytnej Mezopotamii około 2500 r. p.n.e. na terenie obecnego Iraku. Od tamtego czasu odnotowano ponad tysiąc takich konfliktów. Kiedy zespół prof. Petera Gleicka, hydrologa z Pacific Institute, przeanalizował je w poszukiwaniu przyczyn, udało się znaleźć jeden wspólny mianownik. Większość z nich była powiązana z rolnictwem, które współcześnie pochłania około 70 proc. światowego zużycia wody. Hodowla jednej krowy wymaga średnio 4 mln litrów wody. To więcej niż pojemność basenu olimpijskiego. Tymczasem około 40 proc. populacji światowej cierpi na niedobór wody. Według prognoz ONZ i Banku



Zapora na rzece Indus
w Pakistanie

ZDJĘCIE: PEXELS

Światowego do 2030 roku susza może spowodować wysiedlenie nawet 700 milionów ludzi. W Afryce Subsaharyjskiej odsetek ten przekracza 80 proc. To region, gdzie przy źródłach wody często czekają oddziały wrogiej partyzantki, a niszczenie tych ujęć jest standardową metodą prowadzenia wojny. Obecnie wojny o wodę częściej przypominają jednak subtelną sieć ekonomicznych nacisków i budowania wpływów niż tradycyjną linię frontu.

KTÓRE REGIONY SĄ NAJBARDZIEJ NARAŻONE NA KONFLIKT

Jak wyjaśnia dr hab. Andrzej Mikulski, hydrolog z Uniwersytetu Warszawskiego: „Konflikty o wodę najczęściej wybuchają tam, gdzie rzeki płyną przez kilka krajów. W górnym biegu są wykorzystywane do produkcji energii, w dolnym zasilają uprawy. W rezultacie kraje położone w górnych biegach rzek mogą, poprzez odcięcie dostępu do wody, praktycznie zlikwidować produkcję rolną w krajach położonych niżej. W tym kontekście spór o wody Nilu stworzył ryzyko konfliktu zbrojnego między Etiopią, Sudanem i Egiptem, spór o wody Syrdarii mocno skomplikował relacje pomiędzy Kirgistanem i Kazachstanem i doprowadził do wyschnięcia Jeziora Aralskiego, a spór o wody rzeki Indus napędza zbrojne utarczki pomiędzy Indiami i Pakistanem”.

Od Indusu zależy ponad 90 proc. pakistańskich upraw. Po zabójstwie 26 cywilów w Kaszmirze Indie zawiesiły niedawno udział w uchwalonym dzięki pomocy Banku Światowego w 1960 roku traktacie wodnym z Pakistanem, który dzielił rzekę Indus i jej dopływy między dwa kraje i regulował podział wody między obydwojma państwami. Indie planują budowę systemu kanałów odprowadzających wodę z zachodnich rzek do systemów zlewisk Yamuny i Kanału Indiry Gandhi, co pozwoliłoby na transfer wody do północnych i centralnych regionów kraju – projekt ten może w dłuższej perspektywie skutecznie ograniczyć niektóre dopływy do Pakistanu. Realizacja tych przedsięwzięć jest planowana między 2028 a 2032 rokiem.

Wykorzystywanie wody jako narzędzia polityki do perfekcji doprowadziły Chiny. Jednym z celów tej polityki są... Indie. Po konflikcie granicznym w Dolamie z 2017 roku Chiny przesta-

ły udostępniać Indiom dane hydrologiczne dotyczące rzeki Brahmaputry, naruszając porozumienia. Spowodowało to śmierć około 300 osób i przesiedlenie milionów ludzi z powodu powodzi, na którą Indie nie mogły być przygotowane.

Chiny kontrolują również rzekę Mekong zaopatrującą ponad 60 milionów mieszkańców Laosu, Kambodży, Wietnamu i Tajlandii. Kilka lat temu liczne chińskie tamy przyczyniły się do historycznie niskiego poziomu wody w tej rzece. Konsekwencje? Dotkliwie susze i masowe wymieranie ryb oraz pogłębienie nędzy ludzi, dla których rzeka stanowiła źródło utrzymania.

PROBLEM BĘDZIE SIĘ NASILAŁ – WODY W RZEKACH NA CAŁYM ŚWIECIE BĘDZIE UBYWAĆ

„Ograniczenie dostępu do wody dotknie tereny, które czerpią wodę z rzek zasilanych latem spływem z zanikających właśnie lodowców lub zasilane były dotychczas przez monsunowe deszcze, oczywiście tam, gdzie zmiany klimatyczne doprowadzą do istotnego przesunięcia się strefy monsunów. Ten ostatni przypadek powodował w ciągu ostatnich kilkuset tysięcy lat drastyczne zmiany przepływów Nilu i dostępności wody w północnej Afryce. Wody będzie mniej tam, gdzie krajobraz przestał zatrzymywać wody opadowe, a więc na terenach wielkoobszarowych wycinek lasów czy jałowienia gleb. Są też rejony, w których dostępność wody spadnie wskutek ograniczenia ilości opadów lub zwiększenia ich nieregularności. Możliwe, że taka sytuacja dotknie spore przestrzenie w basenie Morza Śródziemnego” – tłumaczy dr Mikulski.

JAK WYGLĄDA SYTUACJA W POLSCE

Doktor Mikulski twierdzi: „Co prawda część naszych rzek płynie już w tej chwili jedynie okresowo, jednak wciąż mamy spore możliwości działania. Zasada jest prosta. Każda kropla deszczu, która zamiast szybko przedostać się do rzeki zatrzyma się w krajobrazie i zasili wody gruntowe, ogranicza suszę. Zatrzymywanie wody w miejscu, gdzie spadła z deszczem, powinno być priorytetem zarówno gospodarki leśnej, jak i rolnej. W tym ostatnim przypadku może zresztą mieć bezpośrednie, pozytywne przełożenie na plony. Rolnictwo regeneracyjne oparte na nowych gatunkach upraw stanie się wkrótce jedyną racjonalną metodą gospodarowania. Inaczej się po prostu wkrótce nie da”.

Choć w ciągu ostatnich 15 lat obserwowaliśmy u nas wiele susz – w województwach wielkopolskim, kujawsko-pomorskim, łódzkim, dolnośląskim, mazowieckim – na tle reszty świata nie wyglądamy źle. Jeszcze nie grożą nam bezpośrednie konflikty o wodę, ale już spór między Polską a Czechami związany z planami rozbudowy kopalni w Turowie można uznać za konflikt z wodą (choćby podziemną) w tle.

Wysychanie rzek to jednak tylko część większego problemu. Zmiany klimatyczne, w połączeniu z rolnictwem, przemysłem oraz urbanizacją, gwałtownie wpływają na zasoby wód lądowych, w tym również wody pitnej, które, jak wskazuje międzynarodowy zespół ekspertów na łamach czasopisma „Science Advances”, od 2002 roku znacznie się skurczyły. Badacze zidentyfikowali cztery główne regiony, w których obserwuje się zjawisko „megawysychania” (ang. mega-drying). To rozległe obszary północnej Kanady i Alaski, północnej Rosji, region południowo-zachodniej Ameryki

Północnej i Ameryki Środkowej, pas terytoriów ciągnący się od Afryki Północnej przez Europę – a więc również Polskę – oraz Bliski Wschód i Azję Środkową, aż do północnych Chin oraz Azji Południowej i Południowo-Wschodniej. Jak podkreślają badacze, około 75 proc. światowej populacji – a więc niemal 6 mld ludzi – żyje w 101 krajach, które od 2002 roku tracą słodką wodę.

Jako najważniejszą przyczynę, która odpowiada za utratę wody w 68 proc. na obszarach niepokrytych lodowcami, eksperci wskazują wyczerpywanie się zasobów wód gruntowych. Problem jest szczególnie zauważalny w Kalifornii i dorzeczu rzeki Kolorado, w Meksyku, na północy i zachodzie Afryki czy w dorzeczu Indusu i Gangesu oraz w rejonie Morza Kaspijskiego i Aralskiego. Dodatkowo, na wysokich szerokościach geograficznych, zjawisko to jest nasilane przez topnienie lodu i wiecznej zmarzliny. Duże szkody, zwłaszcza w Ameryce Środkowej i Europie, wyrządzają susze, które uznano za najgorsze od 2 tysięcy lat.

Opisane przez siebie zmiany autorzy podsumowują jako „najpoważniejszy sygnał dotyczący wpływu zmian klimatu odnotowany do tej pory”. Ich zdaniem wodę należy traktować jako „zasób międzypokoleniowy”, a obecna polityka wyrządza przyszłym pokoleniom trudne do oszacowania szkody. Zmiany należy wprowadzić jak najszybciej.

WODA NA WALL STREET

Skoro woda staje się dobrem coraz rzadszym, nie powinno dziwić, że tematem tym zainteresowały się rynki. Na giełdach notowane są dziesiątki spółek, które handlują prawami do wykorzystywania zasobów wodnych. Wartość tylko jednej, największej firmy z tzw. sektora Blue Market – American Water Works, która dostarcza i uzdatnia wodę pitną – przekracza już 26 mld dolarów.

Jak wskazuje dr Kalanithy Vairavamoorthy z International Water Association, gość ostatniej edycji Impactu: „Woda jest zasobem niezbędnym, więc jej potencjał handlowy jest oczywisty, a idea kontraktów terminowych jest jego naturalnym przedłużeniem. Wraz ze wzrostem presji na zasoby wodne handel wodą może zyskać na znaczeniu, zwłaszcza jako sposób ułatwiający i optymalizujący alokację zasobów. Jednocześnie woda jest zasobem wspólnym, mającym wiele zastosowań i przynoszącym liczne korzyści – nie tylko w zakresie utrzymania świata, w którym żyjemy. Musimy więc zapewnić, aby nasze instytucje i mechanizmy zarządzania były dostosowane do celu, jakim jest wspieranie tych wielu zastosowań i korzyści w miarę wzrostu presji”.

Czy zatem czeka nas wkrótce spekulacja cenami wody? Zdaniem Pedra Arrojo-Agudo, byłego specjalnego sprawozdawcy ONZ ds. praw człowieka do dostępu do wody pitnej i urządzeń sanitarnych, pełne urynkwienie wody grozi scenariuszem, w którym inwestorzy będą po raz kolejny zarabiać na ludzkim cierpieniu, np. windując ceny wody w okresie susz. A tych, w dobie zmian klimatycznych, czeka nas coraz więcej. Niektóre kraje walczą z procederem. Boliwia czy Urugwaj zakaz prywatyzacji usług wodnych wpisały do konstytucji. Kanada od lat blokuje pomysły eksportu wody na masową skalę jak towaru. Unia Europejska nie przewiduje na razie handlu wodą.

Coraz częściej pojawiają się również argumenty, że woda to zasób o znaczeniu strategicznym. Podobnie jak w przypadku obrony narodowej, to państwo powinno sprawować nad nią kontrolę, bo od tego zależy bezpieczeństwo obywateli.

CO ROBIĆ

Niestety, nie ma jednego uniwersalnego rozwiązania problemu niedoboru wody. Niezbędne są na pewno inwestycje w infrastrukturę i nowe technologie. W wielu krajach samo ograniczenie strat i wycieków mogłoby przynieść ogromne korzyści – Irak traci aż dwie trzecie wody z powodu zniszczonej infrastruktury.

Niektóre kraje eksperymentują z odsalaniem wody morskiej. Takie instalacje znajdziemy w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, w Arabii Saudyjskiej, Katarze, Bahrajnie i Izraelu, ale również w Kalifornii i na Florydzie, a nawet w europejskich krajach wyspiarskich jak Malta czy Cypr.

Doktor Nikolas Galli, hydrolog z Politechniki w Mediolanie, wskazuje jednak na ograniczenia tej technologii. „Odsalanie może być rozwiązaniem, ale nadal jest niezwykle kosztowne, energochłonne i problematyczne pod względem skutków środowiskowych. Istnieje szeroki wachlarz rozwiązań pozwalających radzić sobie z niedoborem wody, jak nowe techniki pozyskiwania wody, modele gospodarki wodnej oparte na mniej lub bardziej skomplikowanych symulacjach, praktyki i technologie mające na celu poprawę efektywności wykorzystania wody w rolnictwie czy systemy dystrybucji wody”.

Najbardziej obiecujące wydają się siatki do zbierania wody z mgły. Nie jest to pomysł nowy – w wielu krajach trwają prace nad prostymi konstrukcjami, które składają się z pionowej siatki przypominającej nieco powiększoną siatkę tenisową. Nawet duże konstrukcje, o powierzchni setek metrów kwadratowych, można zainstalować stosunkowo niewielkim nakładem, a co ważniejsze, ich eksploatacja praktycznie nie kosztuje. Nie zużywają energii, a jedynym wymogiem jest ich regularne czyszczenie szczotką w celu usunięcia pozostałości piasku i owadów. Największa tego typu instalacja na świecie działa

ZDJĘCIA: [HTTPS://WWW.WASSERSTIFTUNG.DE/](https://www.wasserstiftung.de/), ADOBE STOCK

JAKO NAJWAŻNIEJSZĄ PRZYZYNĘ, ODPOWIADAJĄCĄ ZA UTRATĘ WODY W 68% NA OBSZARACH NIEPOKRYTYCH LODOWCAMI, EKSPERCI WSKAZUJĄ WYCZERPYWANIE SIĘ WÓD GRUNTOWYCH.

w tej chwili w Maroku w okolicach Agadiru. Projekt Dar Si Hmad realizowany jest za pomocą technologii CloudFisher, zaprojektowanej przez niemiecką WasserStiftung, i zasila w wodę 14 okolicznych wiosek.

Analiza kilkudziesięciu prac naukowych wykazała, że metoda ta pozwala na uzyskanie od 1 do 10 litrów wody z metra kwadratowego. Warto też ograniczyć zapotrzebowanie rolnictwa. Oparte na algorytmach i zestawie czujników inteligentne systemy nawadniania są w stanie monitorować stan gleby i nawodnienia roślin w czasie rzeczywistym. W porównaniu z tradycyjnymi metodami precyzyjne nawadnianie to podwójna korzyść – oszczędzamy nawet do 50 proc. wody i zyskujemy zbiory większe o 20–30 proc.

W dobie zmian klimatycznych może też pomóc odzyskiwanie wód opadowych. Nowoczesne zielone dachy to rozwiązania, które mogą pomóc w radzeniu sobie z wieloma problemami współczesnych miast – ograniczają wyspy ciepła, sezonowy niedobór wody, powodzie, zanieczyszczenie i utratę bioróżnorodności. Na przeszkodzie stoją jednak kwestie zdrowotne – deszczówka często nie nadaje się do picia i należałoby ją uzdatnić, a takie systemy generują już koszty.

Jakie rozwiązania proponuje ekspert z IWA, doktor Vairavamoorthy? „Na całym świecie istnieje wiele innowacji i praktycznych przykładów pokazujących, jak można robić rzeczy inaczej. Kluczową rolę organizacji, w której pracuję, Międzynarodowego Stowarzyszenia Wody, jest zapewnienie platformy wymiany pomysłów i doświadczeń dotyczących tych możliwości”.

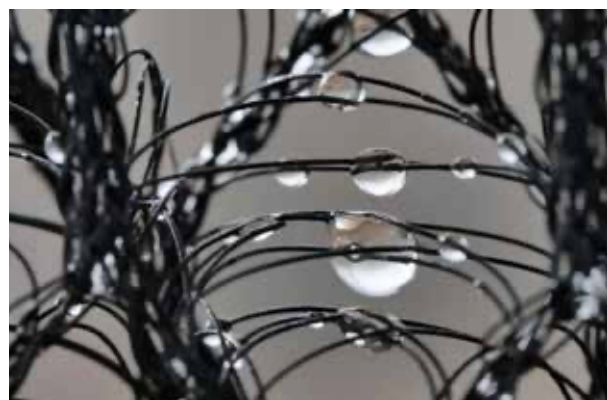
Vairavamoorthy podkreśla konieczność wielokrotnego wykorzystania tych samych zasobów wody. Założenie jest proste – jakość wody powinna być dopasowana do celu. O ile woda pitna z oczywistych względów musi być najwyższej jakości, o tyle do splukiwania toalet, nawadniania czy chłodzenia przemysłowego można wykorzystać również tę „gorszą”.

Takie projekty już przynoszą efekty – doskonałym przykładem gospodarki cyrkularnej jest inicjatywa West Basin, która w latach 90. XX wieku uporała się z brakiem wody w Los Angeles. Wystarczyło stosować różnej jakości wodę do nawadniania, potrzeb przemysłowych czy chłodzenia. W jednej ze szwedzkich dzielnic dzięki takim rozwiązaniom udało się zredukować ślad wodny o ponad 50 proc. Woda określana jako „czarna” (ścieki z toalet) oraz odpady żywnościowe są wspólnie przetwarzane do produkcji paliwa dla lokalnych autobusów. Natomiast woda „szara” (z pryszniców, umywalk itp.) jest wykorzystywana do generowania strumienia – nawozu na bazie fosforu.

Przeciętny Polak w ciągu jednego dnia zużywa 93 litry wody (dla porównania: w przypadku mieszkańca USA to ponad 300 litrów). Wydaje się, że już niedługo taka wodna rozpusta będzie nieosiągalnym luksusem. Żeby przygotować się na te czasy, Vairavamoorthy proponuje trzy zasady efektywnego gospodarowania wodą: wykorzystywanie mniejszej ilości wody do większej liczby zadań, wielokrotne użycie tej samej wody oraz dopasowanie jakości wody do jej przeznaczenia. Warto zacząć wprowadzać te zasady nie tylko w naszych nawykach konsumenckich, ale też na poziomie przemysłowym. ■

Redagował Julian Kutyla

Problem kurczących się zasobów wodnych był poruszany na Impact'25 i będzie kontynuowany podczas kolejnych edycji.



Siatki do zbierania wody z mgły



Rzeka Indus



Igor Kamyk, „IgoRock” – kadr z teledysku

CZUŁE POKOLENIE

Zetki nie chcą być diagnozowane, tylko zrozumiane. Zamiast manifestów wybierają czułość, rozmowę i prostą prawdę: nawet w chaosie można znaleźć własny rytm.

TEKST:
Krystyna Romanowska

Na warszawskim moście Poniatowskiego 16-letni Igor „IgoRock” Kamyk kręci swój pierwszy teledysk. „Wcale nie chcesz umierać, może nie wiesz, jak żyć” – śpiewa, idąc mostem. Jest wczesna wiosna 2025 roku. Most nie jest przypadkowy – to tam, kilka lat temu, odebrała sobie życie koleżanka jego siostry. Przeżycia związane z tą historią znalazły teraz swoją formę – piosenkę, w której zaproszony do współpracy Muniak Staszczuk rapuje: „Masz piętnaście lat, a w środku mieszka starzec”. „Chciałem, żeby ta piosenka była nie tylko dla młodych, ale i dla rodziców. Żeby usłyszeli, że dzieci w tych czasach potrzebują rozmowy. Nie tylko: <jak w szkole?>, ale także: <jak się czujesz?>” – mówi Igor.



ZDJEŃCA: UNSPLASH, MATERIAŁY PRASOWE

ZETKA ŚPIEWA Z MUŃKIEM

Muniek Staszczuk – ikona pokolenia boomerów, swoim udziałem w utworze młodzieżowego rapera symbolicznie łączy dwa światy: ten, który wierzył w gitarę i bunt, i ten, który scrolluje, ale niekoniecznie czuje się wolny. Ich wspólna piosenka to więcej niż numer do radia – to głos nastolatka, który zamiast TikToka wybiera wypad z kumplami do muzeum („Szczerze? Niektóre eksponaty w Muzeum Sztuki Nowoczesnej to porażka”), rozmowy o sensie życia i planach na biznes, który miałby dać nie tylko pieniądze, ale i wolność. Igorowi nie chodzi o bunt dla samego buntu. Chodzi o to, by mówić szczerze, mówić prawdę – zanim ktoś znowu zdecyduje, że nie ma już po co. Piosenkę stworzył wspólnie ze swoim tatą Tomaszem (w teledysku występuje jako DJ Padre), dziennikarzem i autorem tekstów. Siedzieli razem, wymieniali się wer-

sami, poprawiali. Tomasz przyznaje, że nie jest wzorem rodzica. „Byłem doskonałym ojcem wtedy, gdy nie miałem jeszcze dzieci” – śmieje się. Z czułością mówi o synu, choć zastrzega: „Wiem, że nie jestem dla niego autorytetem”. Rozumie też, że jego syn dorasta w trudniejszym świecie, niż mogłoby się wydawać.

ZETKI: ZMIERZONE, ZWAŻONE, POD LUPĄ

O pokoleniu urodzonym między 1995 a 2010 rokiem napisano tomy, zanim zdążyło wejść w dorosłość. Zetki zważono (ciut cięższe niż poprzednie pokolenia), zmierzono (trochę wyższe, bo dobrze odżywione). Postawiono im diagnozy w kolejnych badaniach dotyczących „stanu psychicznego młodego pokolenia” (przebadzcowani, ale samoświadomi) i wystraszone się ich (prawdopodobnie nie zarobią na emerytury rodziców, a nawet nie chcą próbować).

Nic dziwnego, że są pod taką obserwacją. Jest ich mało – to najmniej liczne pokolenie młodych od czasów wojny. Zapowiadają katastrofę demograficzną. Nie będą mieli wielu dzieci. „Kupili sobie jamnika” – wzdychają mamy mieszkających wspólnie, oczywiście bez ślubu, Zetek. „Mówią, że dziecko to inwestycja na całe życie, a oni chcą tylko <krótkoterminowych lokat emocjonalnych>” – dodają.

„Późne dzieci rodziców, którzy odnieśli sukces. Wyczekane, wychuchane” – opisuje dr Katarzyna Szumlewiec, pedagogka i filozofka z Uniwersytetu Warszawskiego, której studentkami i studentami są Zetki. „Łagodne, nieradykalne, bez werwy. Nie mają w sobie młodzieńczej wrogości wobec starszych pokoleń jak wcześniejsze generacje. Nie mają poczucia wyjątkowości” – dodaje. Katarzyna Talacha, psycholożka i konsultantka telefonu zaufania dla dzieci i młodzieży 116 111 z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, zauważa: „Młodzi ludzie coraz lepiej rozumieją, czym są problemy ze zdrowiem psychicznym, i coraz częściej szukają pomocy. Jednocześnie czują się zostawieni sami sobie. Dorosli nie zawsze reagują, nawet gdy ktoś wprost mówi, że ma ciężko. Brak wsparcia, obojętność, poczucie odrzucenia – to właśnie boli ich najbardziej. I może sprawić, że następnym razem już nie poproszą o pomoc. W rozmowach z nastolatkami często pojawia się także temat trudności w komunikacji – wielu z nich ma problem z mówieniem o swoich granicach i z ich stawianiem. To z kolei odbija się na relacjach z innymi – bywają one chaotyczne, niestabilne, zwłaszcza w kontaktach z rówieśnikami”.

W taki obraz generacji bardzo trafnie wpisuje się Lola Young, piosenkarka pochodząca z południowego Londynu, wychowana w rodzinie jamajsko-chińsko-angielskiej. Stała się głosem pokolenia Z, bo mówi ich językiem – surowym, szczerym i bez filtra. Jej teksty dotyczą tematów takich jak ADHD, lęk, emocjonalna niestabilność czy presja bycia idealną/idealnym – czyli doświadczeń powszechnych wśród młodych dorosłych. W utworze „Messy”, który stał się virałem i nieformalnym hymnem Zetek, śpiewa: „I’ve been messy since I could remember / Anxiety and anger, they live in my center”. („Byłam rozchwiana, odkąd tylko pamiętam / Lęk i złość mieszkają w samym środku mnie”). Jej buntowniczy, niekonformistyczny wizerunek – potargane włosy, ubrania vintage, brak „popowej” elegancji – podkreśla przekaz: masz prawo być rozchwiany, masz prawo być sobą.

CZY ZETKI CZUJĄ SIĘ STARE?

W próbach opisanie kondycji młodych ludzi pojawia się motyw ich „starości”. „Nastolatki deklarują, że najchętniej przeszłyby już na emeryturę” – mówią nauczyciele. Widać go także w teatrze. W przejmującym slaminie z najnowszej spektaklu „Kobieta samotna” warszawskiego Teatru Powszechnego Boguś, nastolatek, mówi o sobie, że jest „starcem w ciele dziecka”. Dlaczego? Bo obejrzał w internecie tak przerażające treści, że czuje się wyczerpany i przytłoczony życiem. Jakby codziennie budził się pod toną piasku – każde ziarnko to obraz, wiadomość, komentarz, o które nie prosił, a i tak zostają mu w sercu. To doświadczenie wielu Zetek: przedwczesne obciążenie emocjonalne, nadmiar bodźców, brutalność świata wchłanianego przez ekran telefonu.

Jonathan Haidt, znakomity amerykański psycholog społeczny, w książkach „Niespokojne pokolenie” oraz „Rozpieszczony umysł” zwraca uwagę, że właśnie cyfrowe przeciążenie – nieustanne bombardowanie obrazami przemocy, cierpienia, katastrof – prowadzi do wzrostu zaburzeń internalizacyjnych, takich jak lęk, depresja i poczucie beznadziei. Zetki szybko się wypalają, nosząc w sobie ciężar świata, którego nawet dorośli często nie są w stanie unieść.

ZETKI: BEZSILNOŚĆ W ŁAZIENCE

Widać to wszędzie w komentarzach pod viralowymi filmami na TikTok Reddicie. „Mam 22 lata, a czuję się, jakbym miała 60. Zero energii, zero motywacji. Tylko zmęczenie i wrażliwość, że wszystko już było” – pisze jedna z użytkowników. Pod spodem tysiące głosów, które brzmią jak echo: „Jesteśmy młodzi tylko z metryki. W środku – wypaleni starcy”. Albo: „Mam 26 lat i czuję, że życie już mi przeleciało. Każdy dzień to kopiuj-wklej: praca, scrollowanie, sen. Myślałam, że dwudziestka to wiek przygód, a teraz tylko kalkuluję, na ile starczy mi sił”.

W odpowiedzi na ten psychiczny smog pojawiają się rytuały samoobrony. Jest „bathroom camping” – siedzenie w łazience, jak w schronie, by choć na chwilę wyciszyć system nerwowy. Kiedy to nie wystarcza, wchodzi „crashing out” – nagłe emocjonalne zwarcie, moment, w którym napięcie przejmuje kontrolę. Te pojęcia nie są przypadkiem – to nowy słownik pokolenia Z, język wypalenia. Jakby ich głowy były przeładowywane skrzynkami mejlowymi bez opcji „archiwizuj”. Każda wiadomość z oznaczeniem: „pilne”. Anna Maria Wołyniak, psycholożka dzieci i młodzieży, stwierdza: „Oni są fizjologicznie zmęczeni. Ich mózg musi codziennie przetwarzać więcej informacji, niż ludzie kiedyś przetwarzali w ciągu całego życia”. Tymczasem same Zetki mierzą się z zarzutami, że są „rozpuszczeni” i „dziwni”. @jayden_noir z TikToka mówi: „Nie jesteśmy specjaliści. Jesteśmy po prostu normalni. Szukamy sensu, ale przecież każdy młody człowiek zawsze go szukał. To nie jest żadna rewolucja”. A na forum r/generationology user_KasiaG93 pisze: „Ludzie próbują nas ciągle sklasyfikować, ale my nie jesteśmy ani tacy, ani siacy. Po prostu jesteśmy sobą. Bez wielkich słów”. To głos rozsądku, który powtarza się coraz częściej. Pokolenie Z nie chce być definiowane przez skrajności. Nie chce być „straconym pokoleniem”, ani też „najbardziej przebudzonym”. Chce być uznane za ludzi zmęczonych, ale wrażliwych.

Zetki nie są „dziwne” ani „zepsute”. Są po prostu pierwszym pokoleniem, które dojrzało online. Ich zmęczenie to nie fanaberia – to stan psychiczny i społeczny. Stereotyp „starczych” Zetek odrzuca też dr Katarzyna Szumlewiec. „Ten cały mit o <starcach w ciałach dzieci> to młodzieżowa poza. Oni nie są starzy – są młodzi, tylko żyją w czasach, w których wszystko dzieje się w internecie”.

ANIA: ŻADNE DZINSY ZETKOM NIE PASUJĄ

Gdy rodzice dzisiejszych nastolatków martwią się o ich bezpieczeństwo, najczęściej dzwonią pod numer 800 100 100. Chodzi głównie o sytuacje związane z internetem – cyberprzemoc, kontakt z obcymi osobami, nieodpowiednie treści. Niepokoi ich też przemoc rówieśnicza, odrzucenie w grupie czy samotność dziecka. „Często czują się zagubieni – nie wiedzą, jak rozmawiać ze szkołą albo do jakiej instytucji się zwrócić. Coraz częściej pytają o zdrowie psychiczne swoich dzieci. Chcą być blisko, chcą pomóc, ale nie zawsze wiedzą, jak rozmawiać i jak wspierać dziecko w trudnych momentach. Kiedy dostają od nas konkretne informacje – gdzie szukać pomocy, do kogo się zwrócić – zazwyczaj czują się silniejsi i gotowi działać. Co ważne, podczas takich rozmów chętnie opowiadają też o sobie – o swoich emocjach, o strachu, złości czy smutku. Często mówią, że potrzebują po prostu zrozumienia, wsparcia i tego, by nikt ich nie oceniał” – mówi Paulina Masłowska, radca prawna Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę.

„Chciałabym wybronić moje pokolenie” – mówi 22-letnia Ania z Gdańska. Ma dwie siostry, również należące do pokolenia Z. Odkąd skończyły 18 lat, wszystkie pracowały jako instruktorki windsurfingu. Dzisiaj jej starsze siostry mają swoje wymarzone prace – architektka i prawniczka. Wczoraj Ania świętowała swoje urodziny. Na imprezie byli przedstawiciele różnych pokoleń: zetki, milenialsi, a nawet boomersi. „Przyjaźń to dla mnie fundament, bez niej bym nie istniała. Podobnie jak sport. On mnie ukształtował” – podkreśla. Mówi o sobie, że jest w tzw. okresie przejściowym. Napisała licencjat z psychologii, zrobiła sobie „gap year”, czyli rok przerwy na podróż

**ZETKI NIE STARZEJĄ SIĘ FIZYCZNIE, ALE PSYCHICZNIE I EMOCJONALNIE
BARDZO SZYBKO SIĘ WYPALAJĄ, NOSZĄC W SOBIE CIĘŻAR ŚWIATA,
KTÓREGO NAWET DOROŚLI CZĘSTO NIE SĄ W STANIE UNIEŚĆ.**



Lola Young, londyńska piosenkarka z pokolenia Z

i pracę. Była w Hiszpanii, Portugalii, a na dłużej zatrzymała się na Teneryfie. „Niemieszkanie z mamą to była dobra lekcja samodzielności” – dodaje. Jej historia pokazuje, że wiele osób z pokolenia Z nie pasuje do stereotypu „zagubionych” czy „rozpieszczonych”. Pracują, uczą się, szukają własnej drogi – często z dala od utartych schematów.

„Nasz główny problem? Zbyt dużo wyboru” – przyznaje Asia. „Teraz jestem z przyjaciółmi na Open’erze, ale znajomi wysyłają nam fotki z Włoch, wobec tego wszyscy żalujemy, że nas tam nie ma. Podobnie z zakupami. Jak wybrać dzinsy spośród dziesięciu par? W końcu nie wybieramy żadnej” – dodaje. Przyznaje, że są wychuchani, a rodzice wiele za nich załatwiali. W swojej mamie podziwia umiejętność mierzenia się z problemami. „My raczej chowamy je pod dywan. Na socialach pokazujemy uśmiechniętą twarz, a kłopoty nie znikają” – mówi Ania. Chłopak, partner? Przeczaco kiwa głową. Jest rozczarowana. „Nie ma już rycerzy. Bo nie ma też księżniczek” – konkluduje. Ale chciałaby, żeby faceci byli bardziej dojrzały i odpowiedzialni.

CAŁA NADZIEJA W ZETKACH?

Zetki dojrzewały w trybie ciągłego odbioru – powiadomień, wiadomości, obrazów, alertów. Ich tożsamość formowała się w świecie cyfrowym – bardziej w oczach innych niż w relacji z samym sobą. „Oni żyją trochę w wyobrażonym świecie. To, co mają w głowie, nie przystaje do rzeczywistości. I to ich wypala” – zauważa Anna Maria Wołyniak, psycholożka dzieci i młodzieży. „Rodzice mówią: <Macie wszystko, możecie wszystko>, ale nadmiar wyborów zamiast wolności przynosi paraliż. Sam wybór staje się ciężarem. Każda decyzja może zamknąć inne drzwi. Wobec tego trwają w zawieszeniu”. Psycholożka zwraca też uwagę na problem braku autorytetów. „Kiedy pytam o nie, zapada cisza. Czasem pojawiają się nazwiska postaci fikcyjnych. Ostatnio usłyszałam: >Hannibal Lecter<. I to nie był żart. To sygnał zagubienia. Bez jasnych norm, bez

kompasu, łatwo się zgubić. Człowiek nie może żyć bez żadnych zasad. A oni często wszystko odrzucają, nie mając nic w zamian”. Mimo tej ostrej diagnozy psycholożka nie odbiera temu pokoleniu potencjału. Wręcz przeciwnie. „To bardzo wrażliwi i poszukujący młodzi ludzie. Gdyby tylko ta autentyczność znalazła dobre ukierunkowanie, mogliby naprawdę wiele zmienić” – mówi.

Na pytanie, kogo ceni jako autorytet, Igor Kamyk wskazuje raperów, którzy według niego mają coś ważnego do przekazania. „Nie każda ich piosenka to złoto, ale niektórzy naprawdę trafiają w punkt” – mówi. Najważniejszy z nich to Rogal DDL – raper uliczny, często niedoceniany przez mainstream. „Ludzie myślą, że on tylko bluzga. A ja tam widzę wartości. Mówi, że ludzie się sprzedają, żeby mieć status. I że media często kłamią”. Igor nie zamyka się tylko w jednym gatunku. Słucha też jazzu, klasyki, a nawet... „Ostatniej niedzieli” Mieczysława Fogga. „To piękna piosenka. Ciężka, ale prawdziwa” – mówi z pełną powagą.

Podobnie jak muzyczne wybory, autorytety Igora nie są oczywiste. Szuka ludzi, którzy nie udają. Tak jak on sam – chłopak, który bardziej niż fejm, ceni prawdę, sens, bliską rozmowę. Dlatego pisze piosenki o emocjach, które go przerastają i pyta głośno o coś tak prostego: „Jak się czujesz?”. Inni – jak Ania – uczą windsurfingu, podróżują i uczciwie przyznają: „Czasem nie wiemy, co wybrać, bo wszystkiego jest za dużo”.

Siłą tego pokolenia być może nie jest bunt, tylko uważność. Być może Zetki nie chcą być „najbardziej wyjątkowe” – chcą być takie, jakie są. Zmęczone, przebudzowane, czasem wycofane, a zarazem czułe, refleksyjne, świadome. Może jeszcze nie wiedzą, jak naprawić świat, natomiast wiedzą już, że warto o tym rozmawiać – zanim ktoś znowu zdecyduje, że nie mają nic do powiedzenia. ■

Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, która niesie pomoc dzieciom i młodzieży, co roku gości na Impact. Wspólnie przyglądamy się problemom młodego pokolenia i szukamy dla nich najlepszych rozwiązań. Zachęcamy do wspierania Fundacji i Telefonu Zaufania dla dzieci i młodzieży.

ZMĘCZENI CYWILIZACJĄ

Stres, światło ekranów, bezdech, bruksizm, lęki i rozpedzony rytm dobowy. Zaburzenia snu to nowa, cicha epidemia naszych czasów.

TEKST:
Krystyna Romanowska

Karolina mieszka w Warszawie. Każdego wieczoru walczy z własnymi demonami: to ekran telefonu, czerwone logo Netflixa, aplikacje do zamawiania jedzenia 24/7. Jej sny są płytkie, ciało śpi, ale świadomość wciąż w biegu, z głową pełną nieopłaconych faktur, niedokończonych e-maili oraz stresów zawodowych. Tabletki? Owszem, czasem. Wprawdzie nie rozwiązują przyczyny, ale przynajmniej pozwalają przetrwać. Sen Karoliny to nie regeneracja, tylko układanie się z otaczającym ją chaosem. Nie pamięta, kiedy się porządnie wyspała (może w zeszłym roku w czasie wakacji na wsi) i marzy tylko o jednym – żeby się kiedyś obudzić i poczuć: „Jestem gotowa. Dam radę”.

BEZSENNI ENIGMATYCZNI

To, co przeżywa Karolina, nie jest jednostkowym przypadkiem, lecz zjawiskiem dobrze znanym psychiatrom i psychoterapeutom. Polacy śpią najkrócej i najgorzej w Europie – średnio niespełna 6 godzin i 45 minut na dobę, podczas gdy mieszkańcy Finlandii czy Holandii przesypiają ponad 7,5 godziny. Ponad 47 proc. z nas budzi się w nocy z powodu stresu, co czy-

ni nas najbardziej „zamartwiającym się” narodem w Europie. Bezsenność, która dotyka już niemal połowy dorosłych Polaków, stała się jednym z najczęstszych powodów zgłoszeń do lekarzy pierwszego kontaktu. Obturacyjny bezdech senny, związany głównie z otyłością, występuje u co dziesiątego dorosłego i pozostaje w większości nierozpoznany. Z danych WHO i raportów niemieckiej firmy farmaceutycznej STADA oraz OECD wynika, że zaburzenia snu przybierają w Polsce formę epidemii – cichej, ale wyniszczającej. Europa może spać spokojnie – my jeszcze nie.

Paweł Drożdżiak, psycholog, dzieli pacjentów zmagających się z bezsennością na trzy grupy. Jedni nie śpią, bo rzeczywiście coś się dzieje – choroba dziecka, rozwód, nagły kryzys. Ich głowy nie gasną, bo świat wokół płonie. Leki nasenne pomagają im ten czas przetrwać. Inni, bardziej neurotyczni, przeżywają wszystko zbyt intensywnie. Jedno słowo od szefa, jedno nieodebrane połączenie i sen pryska na wiele nocy. Ale jest też trzecia grupa, najbardziej enigmatyczna: „Ludzie, którzy po prostu nie śpią. Nie wiedzą dlaczego. Czują napięcie, którego nie umieją nazwać. Żyją w ciągłym rozdrażnieniu, jakby ich układ nerwowy nie znalazł pozycji «stand by»”. I to właśnie im najtrudniej dotrzeć do pomocy – bo bez snu trudno myśleć, trudno działać, trudno wierzyć w zmianę. Tak potwornie zmęczeni ludzie nie są w stanie pracować nawet podczas psychoterapii” – mówi Paweł Drożdżiak.

WYBUDZENIE Z CYWILIZACYJNEJ DRZEMKI

Jeszcze dwie dekady temu takich historii nikt nie zbierał. Mówiło się o „kłopotach ze snem”, „permanentnej bezsenności”. Dwadzieścia lat temu medycyna snu była w Polsce czymś, co dopiero raczkowało – ciekawostką, domeną kilku zapaleńców i tematem marginalizowanym wśród poważnych specjalizacji. Dziś to jedna z najbardziej interdyscyplinarnych dziedzin medycyny – na styku neurologii, kardiologii, psychiatrii, pulmonologii, a nawet reumatologii. „Medycyna snu to już nie tylko sprawa psychiatrii czy neurologii. To dziedzina obejmująca całe spektrum chorób wewnętrznych. Zajmujemy się nią we Wrocławiu, choć nasze zespoły liczą zaledwie kilku zapaleńców”



ZDJĘCIE: PEXELS

– mówi profesor Helena Martynowicz, kierowniczka Laboratorium Snu w Katedrze i Klinice Chorób Wewnętrznych, Zawodowych, Nadciśnienia Tętniczego i Onkologii Klinicznej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu.

W 2019 roku Światowa Organizacja Zdrowia oficjalnie uznała medycynę snu za odrębną dziedzinę w ramach klasyfikacji ICD-11. Polska ma czas do 2027 roku, aby wdrożyć te standardy, ale warunki systemowe są trudne. „Nie mamy wystarczającej liczby laboratoriów snu, brakuje wykwalifikowanych specjalistów, a sama specjalizacja z medycyny snu formalnie w Polsce nie istnieje. Brakuje też finansowania. Choć złoty standard, polisomnografia, jest refundowany, to inne badania, jak poligrafia oddechowa – już nie” – tłumaczy profesor Helena Martynowicz.

TRÓJKĄT, KTÓRY DUSI

Przez lata bezsenność była uważana za głównego wroga spokojnej nocy. Dziś naukowcy rozumieją, że zaburzenia snu to cała konstelacja powiązanych objawów. Pojawiła się nowa „święta trójca”: bezsenność, bezdech senny i bruksizm senny. „Zaburzenia snu lubią chodzić parami, a nawet trójkami” – przyznaje profesor Helena Martynowicz. „Bezsenność występuje u co trzeciego pacjenta z bezdechem. Bruksizm – u połowy chrapiących. Zespół niespokojnych nóg – u co dziesiątego pacjenta z bezdechem. Jeszcze w latach 90. mówiliśmy, że bezdech dotyczy 2 proc. kobiet i 4 proc. mężczyzn. Dziś wiemy, że choruje na niego 20–30 proc. populacji. To wzrost kilkunastokrotny. Mamy ponad miliard ludzi na świecie z bezdechem”.

Co gorsza, aż 95 proc. przypadków bezdechu sennego pozostaje nierozpoznanych. A to nie tylko chrapanie – objawy bywają bardzo różne i często prowadzą pacjenta nie do pulmonologa, lecz do kardiologa, neurologa czy reumatologa. „Bezdech senny ma dwie twarze. Jedna to ta klasyczna: chrapanie, senność, otyłość – częściej u mężczyzn. Druga to bezsenność cicha, podstępna postać bezdechu, częstsza u kobiet. Obie mogą prowadzić do poważnych konsekwencji sercowo-naczyniowych” – dodaje prof. Martynowicz.

BRUKSIZM A SCREEN TIME

Bruksizm przez lata uznawany był za problem stomatologiczny. Dziś ta narracja się zmienia.

„Zgrzytanie zębami to nie tylko starte szkliwo. To złożone zjawisko ogólnoustrojowe. My dopiero uczymy się jego znaczenia. To kula śnieżna – im dalej ją toczymy, tym więcej zagadek się ujawnia. W wielu przypadkach powoduje prawdziwe spustoszenie w organizmie: zmienność ciśnienia tętniczego, aktywację układu współczulnego, fragmentację snu, stany zapalne i wzrost ryzyka miażdżycy” – wymienia profesor Helena Martynowicz.

Jej zespół odkrył związek między tzw. bruksizmem fazowym a migreną z aurą. To pierwsze tego typu badania na świecie. Dla profesora Mieszka Więckiewicza, kierownika Katedry i Zakładu Stomatologii Doświadczalnej na Wydziale Lekarsko-Stomatologicznym Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, który także zajmuje się medycyną snu, bruksizm jest problemem cywilizacyjnym. „To wyraz niepokoju, którego nie umiemy wyrazić, więc zaciśkamy zęby, stresu, który nie znika z ciała nawet wtedy, gdy śpimy. I dopóki nie zrozumiemy, że sen to nie tylko odpoczynek, ale neuroregeneracja, dopóty będziemy mieli coraz więcej takich przypadków” – podkreśla profesor. „Bruksizm – i to jest najnowsza niepokojąca wiadomość – jest także konsekwencją nadmiernego bodźcowania ekranami. Na ostatniej konferencji International Association for Dental Research w Barcelonie badacze z Neapolu udowodnili związek częstości występowania bruksizmu u dzieci z tzw. screen time, czyli czasem spędzanym przed ekranem” – dodaje.

W ciągu ostatnich trzech-czterech lat w jego gabinecie pojawiła się nowa grupa pacjentów. Ich objawy nie wynikają z genetycznych predyspozycji ani z klasycznego stresu. Są młodzi, często jeszcze przed trzydziestką. I mają jedno wspólne doświadczenie – żyją wciąż z ekranem przed oczami. „Ich mięśnie żucia są nadaktywne, napięte, zmęczone. Mają objawy bruksizmu, które pojawiły się nie z powodu stresu czy bezdechu, ale z powodu życia online” – wyjaśnia profesor Więckiewicz.

Jak to działa? Kluczowe są dwa mechanizmy. Pierwszy – światło niebieskie z ekranów, które zakłóca wydzielanie melatoniny i dezorganizuje rytm dobowy. Drugi – stymulacja szlaków dopaminergicznych, czyli układu nagrody, który działa jak w uzależnieniach: potrzeba ciągłego bodźca, interakcji, kliknięcia, scrollowania. „To

działa bardzo podobnie jak mechanizm uzależnienia w grach hazardowych. Mózg jest ciągle pobudzony, nie potrafi się wyciszyć. I wtedy organizm reaguje napięciem – również w obrębie twarzy” – tłumaczy profesor Więckiewicz. Konsekwencje bywają zaskakująco poważne. Starte zęby, pękające wypełnienia, bóle mięśni, przeskakiwanie stawu, sztywność twarzy, a w zaawansowanych przypadkach nawet zmiana rysów – tzw. kwadratowa twarz, wynikająca z przerostu mięśni żwaczy. W Polsce aż 56 proc. mieszkańców dużych miast może mieć objawy zaburzeń stawu skroniowo-żuchwowego. Często są to właśnie skutki nieleczzonego, przewlekłego bruksizmu. Ale największym problemem jest to, że ludzie nie wiedzą, skąd to się bierze. Źródło leży głębiej – w ośrodkowym układzie nerwowym, w neuroprzekaznikach takich jak serotonina, dopamina czy GABA. Bruksizm to efekt przeciążenia układu nerwowego. Czasem dziedziczny, ale coraz częściej wywołany przez środowisko, nawyki, styl życia. Dzienny bruksizm (bo jest też taki) – jak mówi profesor – ma najczęściej podłoże psychogenne: napięcie, stres, tempo życia, lęk. Nocny bywa mniej przewidywalny. Często związany jest z epizodami bezdechu sennego, aktywacją układu nerwowego, problemami z regulacją cyklu dobowego. I wtedy – dosłownie – budzi się twarz.

„Najczęściej w okolicach trzeciej nad ranem dochodzi do aktywacji układu współczulnego. Serce przyspiesza, mózg wchodzi w stan czujności. Wtedy mięśnie żucia, które powinny odpoczywać, zaczynają się kurczyć. Dochodzi do zgrzytnięcia albo do bardzo silnego zaciskania zębów. Następnie uaktywnia się układ przywspółczulny, który próbuje wszystko wyhamować. Ale jeśli takich epizodów jest dużo albo jeśli trwają zbyt długo, człowiek budzi się zmęczony, z bólem głowy, z napięciem w szczękach. Czasem nawet z uszkodzoną śluzówką czy startym szkliwem” – opisuje profesor Więckiewicz.

KIEDY SEN ZACZYNA MÓWIĆ

Medycyna snu bada również zaburzenia, które wychodzą poza klasyczne ramy. „Zajmujemy się zjawiskami z pogranicza snu i jawy” – mówi profesor Helena Martynowicz. „Seksomnia (uprawianie seksu przez sen), katarrenia (nocne jęki), nocne jedzenie. Jeszcze dekadę temu to

PRZEZ LATA BEZSENNOŚĆ BYŁA UWAŻANA ZA GŁÓWNEGO WROGA SPOKOJNEJ NOCY. DZIŚ NAUKOWCY ROZUMIEJĄ, ŻE ZABURZENIA SNU TO CAŁA KONSTELACJA POWIĄZANYCH OBJAWÓW. POJAWIŁA SIĘ NOWA „ŚWIĘTA TRÓJCA”: BEZSENNOŚĆ, BEZDECH SENNY I BRUKSIZM SENNY.

były wyjątki. Dziś stają się codziennością. Podobnie jak lunatykowanie, z którego kiedyś ludzie wyrastali. Teraz część dorosłych także lunatkuje”. Przyczyna? Styl życia. Chaotyczny rytm dobowy, ekrany podczas wieczorów, zanik wysiłku fizycznego. „Im bardziej nowoczesne życie, tym większe wyzwania dla naszego snu” – podkreśla profesorka.

Wśród nich najpoważniejszym jest wspomniany obturacyjny bezdech senny, który może mieć wiele масек. Może wyglądać jak depresja, bezsenność, bóle głowy, a nawet migreny. Czasem jedynymi objawami są kołatania serca lub napięcie w twarzy. A bywa też, że kończy się dramatem: zawałem, udarem, nagłym zgonem sercowym.

Podstawą jego diagnostyki jest polisomnografia – całonocne badanie, które rejestruje fale mózgowe, oddech, ruchy, pracę serca. W leczeniu stosuje się najczęściej CPAP – aparat z maską, który utrzymuje drożność dróg oddechowych i lektarstwa nowej generacji, które zmniejszają liczbę epizodów bezdechu o połowę i redukują wagę o 20 proc. Są też bardziej zaawansowane metody, jak stymulacja nerwu podjęzykowego, stosowana w USA. W Polsce na razie nierefundowana.

Choć nowe terapie dają nadzieję, nie zastąpią jednego: „Rytmy dobowe są kluczowe. Powinniśmy jeść, spać i ćwiczyć o tej samej porze – również w weekendy. Rozregulowanie biologicznego zegara powoduje wzrost ciśnienia, apetytu i rozwój otyłości” – ostrzega profesor Martynowicz.

We Wrocławiu medycyną snu nie zajmuje się dwustu specjalistów, jak na Harvardzie, ale kilku entuzjastów. Pełni pasji starają się przekonać nas, że sen to nie luksus, to fundament zdrowia. Niestety, my dopiero uczymy się, jak o niego dbać. ■

Zdrowie i dobrostan psychiczny to tematy, o których co roku rozmawiamy z naukowcami i lekarzami w ramach ścieżki Health i Mental Health & Wellbeing. Na Impact'26 jednym z tematów będzie sen.

SEN O DOSTATKU

Wciąż śnimy o lepszym świecie,
tymczasem dużą część wynalazków
potrzebnych, by się urzeczywistnił,
już potrafimy stworzyć. Dlaczego tego nie
robimy?

TEKST: Julian Kutyla



ILUSTRACJA WYGENEROWANA PRZEZ AI

Kiedy we wrześniu 1954 roku ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych Dwight Eisenhower ogłosił rozpoczęcie prac nad budową Shippingport w stanie Pensylwania, był to nie tylko początek jednej z najważniejszych inwestycji w ówczesnej powojennej Ameryce. Pierwsza na świecie elektrownia atomowa do użytku komercyjnego miała zapewnić energię elektryczną dla ponad 100 000 ludzi. Eisenhower ogłosił tym samym nadejście nowej ery. Dzięki ujarzmieniu mocy atomu miało się spełnić odwieczne marzenie ludzkości o nieograniczonym dostępie do energii. A nawet coś więcej: dzięki tej inwestycji ludzkość miała zbliżyć się „do ziszczenia odwiecznego marzenia o nowej, lepszej Ziemi”.

Ledwie 40 lat później Adam Curtis, dokumentalista z BBC, przywołuje tę scenę w miniseriale „Pandora’s Box” i jest to już wtedy tylko powidok z innej epoki, gdy świat Zachodu śnił sen o nowym, lepszym świecie korzystającym z dobrodziejstw nauki i technologii. Kiedy Curtis pieczołowicie montuje swój film z tysięcy archiwalnych materiałów, kończy się XX wiek, epoka, w której ten sen rozpadł się na tysiące kawałków. Rozbiła go katastrofa w Czarnobylu, upadek mitu o naukowym i scentralizowanym zarządzaniu gospodarką oraz ogólne rozczarowanie wpływem technologii na stan społeczeństw, którego efektem było powstanie całego szeregu ruchów Zielonych. Sen się skończył, ale czy na zawsze?

W wydanej niedawno w serii Impact książce „Dostatek” Ezra Klein i Derek Thompson, dwójka renomowanych amerykańskich dziennikarzy, a przy tym popularnych podcasterów, zaprasza nas do osobliwego ćwiczenia z wyobraźni:

„Jest rok 2050. Wchodzisz do kuchni, odkręcasz kran. Płynie w nim woda z oceanu. Jest świeża i czysta, pompowana z odsalarni. Zakłady te wykorzystują błony biologiczne, by odfiltrować z wody sól. Dziś wytwarzają ponad połowę słodkiej wody w kraju. Wyeksploatowane wcześniej rzeki, na przykład Kolorado, znów płyną wartko, bo nie potrzebujemy ich już do nawadniania pól i napełniania czajników. Phoenix i Las Vegas, miasta jeszcze niedawno suche, dziś cieszą oko zielenią.

Otwierasz lodówkę. W szufladzie są jabłka, pomidory i bakłażan pochodzące z najbliższego gospodarstwa, leżącego kilka kilometrów od ciebie. Uprawy nie rosną poziomo, na polach. Sadzi się je w pionie, na tarasowych półkach, w wysokiej szklarni. Życiodajne fotony spływają z rzędów LED-ów, w doskonale wymierzonych odstępach czasu. Wysokościowe gospodarstwa oszczędzają wiele hektarów ziemi, przeznaczanych dziś na lasy i parki. [...] Kiedy twoi rodzice byli młodzi, ponad 25 procent ziem nadających się do zamieszkania wykorzystywano do hodowli zwierząt przeznaczonych do spożycia. Teraz to niewyobrażalne. Duża część tego obszaru wróciła do stanu dzikości. [...] Powietrze na zewnątrz jest czyste, a otaczające cię zewsząd elektryczne maszyny wydają z siebie tylko delikatne pomruki”.

Klein i Thompson stają w kontrze do popularnych ostatnio teorii nakazujących szukanie recept na ocalenie świata w spowolnieniu tempa zmian. Postulują raczej „ucieczkę do przodu” i radykalne technologiczne przyspieszenie jako jedyną możliwość uniknięcia globalnego kryzysu. To właśnie nowe technologie ich zdaniem tworzą dziś nowe możliwości i pozwalają nam zażegnawać problemy niegdyś nierozwiązywalne. Wróćmy znów do snu o roku 2050:

PRAWIE 40% POLAKÓW NEGUJE EWOLUCJĘ, 32% WIERZY, ŻE LUDZIE ŻYLI Z DINOZAURAMI, A 52% NIE UZNAJE ANTROPOGENICZNYCH ZMIAN KLIMATU.

„Świat się zmienił. Nie tylko świat wirtualny, ten taniec pikseli na ekranach. Materialny też: domy, energia, infrastruktura, medycyna, urządzenia techniczne. O ileż ta epoka różni się od pierwszych dekad XXI wieku, w którym rozpostarły się splątane nici licznych kryzysów! Kryzys mieszkaniowy. Finansowy. Klimatyczny. Kryzysy polityczne. Pandemia. Przez wiele lat wiedzieliśmy, że trzeba budować taką gospodarkę, która wypełni dotkliwe niedobory i stworzy niezbędne wielu ludziom szanse – i po prostu jej nie budowaliśmy. Przez wiele lat nie wynajdywaliśmy i nie wdrażaliśmy technologii, które uczyniłyby świat czystszy, zdrowszy i bogatszy. Przez wiele lat ograniczaliśmy swoją zdolność do rozwiązywania najważniejszych problemów. Dlaczego?”

To dobre pytanie. Przecież, jak przekonują Klein i Thompson, dużą część wynalazków potrzebnych nam do tego, żeby pojawił się taki świat, jakiego pragniemy, już potrafimy zbudować. Pozostała, równie duża, nadal trzeba wymyślić bądź udoskonalić: „zielony wodór i cement, fuzję jądrową, leki na terminalne choroby nowotworowe, odporne na dzisiejsze kuracje, oraz na zagadkowe schorzenia autoimmunologiczne, które dzisiejszych lekarzy wprowadzają w zakłopotanie”. Do tego potrzeba jednak sporych nakładów, najlepiej niezależnych od rynkowej zasady w miarę szybkiego zwrotu z inwestycji.

Badania często są żmudne i długie, do tego na początku mogą się wydawać kompletną pomyłką. Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny w 2013 roku James Rothman przez pierwsze 5 lat swoich badań ponosił „same porażki, zanim pojawiła się pierwsza oznaka sukcesu”. Kiedy zaczynał swoją pracę w latach 70. XX wieku, państwowi grantodawcy byli dużo bardziej skłonni do podejmowania ryzyka finansowania badań nieprzynoszących natychmiastowych sukcesów. To nasze społeczeństwa musiałyby ponieść ten koszt. Ale czy dziś wierzymy w naukę na tyle, by bez oporu to zrobić?

Częściowej odpowiedzi na to pytanie udziela opublikowany niedawno raport „Wiedza i postawy obywateli europejskich wobec nauki i technologii”. Z przeprowadzonego po raz kolejny przez Eurobarometr badania wynika dość dramatyczny obraz: choć 83% Polaków uznaje naukę i technologię za dobro, to aż 54% uważa, że... nie mają one wpływu na codzienne życie. Kolejne dane są jeszcze bardziej alarmujące. Prawie 40% Polaków neguje ewolucję, 32% wierzy, że ludzie żyli z dinozaurami, a 52% nie uznaje antropogenicznych zmian klimatu. W porównaniu z raportem z 2021 roku widać wzrost w niemal wszystkich rankingach odnoszących się do negowania faktów naukowych. Widać jednak małe światełka nadziei. Raport pokazuje, że 87% Polaków opowiada się za energią odnawialną, 79% pozytywnie ocenia technologie informacyjno-komunikacyjne.

To jednak nie koniec problemów. O ile społeczne zwątpienie w naukę to dziś bolesna najbardziej rzucająca się w oczy, o tyle równie bolesnymi barierami dla innowacji są, jak piszą Klein i Thompson, wygórowane koszty wdrażania oraz zbyt wolno zmieniające się przepisy – co razem często tłumi potencjał nowych rozwiązań. Politycy, zajęci doraźną walką między coraz bardziej spolaryzowanymi obozami, nie bardzo są w stanie zdecydowanie postawić na innowacje.

Czy za ćwierćwiecze będziemy zatem żyć w rzeczywistości wyśniewanej przez Kleina i Thompsona, czy może czeka nas kolejne bolesne przebudzenie? Szukając odpowiedzi na te pytania, warto przeczytać tę naprawdę ciekawą książkę. Kim bowiem bylibyśmy bez marzeń? A przede wszystkim: kto nie chciałby żyć w dostatku? ■

SERIA IMPACT BOOKS



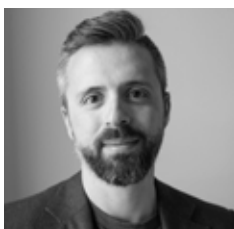
Bestseller "New York Timesa"! Ezra Klein, Derek Thompson „Dostatek”, przeł. Aleksandra Paszkowska, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2025.

FOT. SHAUGHN AND JOHN

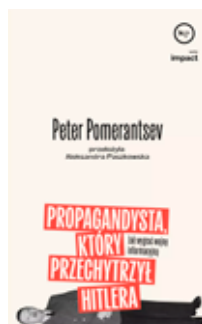


DEREK THOMPSON, amerykański dziennikarz i podcaster, który publikował m.in. w „The Atlantic”. Autor książki „Hit Makers: How to Succeed in an Age of Distraction”. W czerwcu 2025 roku, po sukcesie „Dostatku”, Thompson opuścił „The Atlantic”, aby uruchomić biuletyn „Substack”.

EZRA KLEIN, amerykański komentator polityczny i dziennikarz, felietonista „The New York Timesa” i gospodarz podcastu „The Ezra Klein Show”. Jest także współzałożycielem portalu informacyjnego Vox i jego byłym redaktorem naczelnym.



FOT. LUCAS FOGUJA

NOWA SERIA IMPACT BOOKS
WYDAWNICTWA KRYTYKI POLITYCZNEJ:


PETER POMERANTSEV „Propagandysta, który przeczytał Hitlera. Jak wygrać wojnę informacyjną”

Peter Pomerantsev, autor świetnie przyjętych książek „Jądro dziwności” oraz „To nie jest propaganda”, tym razem przedstawia nam postać cichego bohatera II wojny światowej – Thomasa Seftona Delmera, który tworząc postać „dobrego Niemca” ukrywającego się pod pseudonimem „Der Chef”, toczył zaciętą walkę z hitlerowską machiną propagandową. Ta niesamowita historia jest jednak tylko pretekstem do rozważań na temat dzisiejszej wojennej propagandy, a Pomerantsev staje się wiernym uczniem Delmera walczącym z kłamstwami reżimu Putina. Fascynująca lektura.



MARK LILLA „Błoga ignorancja. O tych, co wołają nie wiedzieć”

Czy niewiedza może być wyborem? Czy unikanie prawdy bywa koniecznością? Mark Lilla, wybitny filozof i eseista, zaprasza w podróż po meandrach ludzkiej psychiki, pokazując, jak często świadomie odwracamy wzrok od rzeczywistości. Lilla prowadzi nas przez historię myśli i kultury, analizując, dlaczego wolimy wierzyć w iluzje i unikać niewygodnych faktów. Udowadnia, że czasem ucieczka przed prawdą to nie tylko efekt ludzkiej słabości, ale też mechanizm obronny, który pozwala nam funkcjonować w coraz bardziej złożonym świecie.



ROSE HACKMAN „Praca emocjonalna. Jak niewidzialna praca kształtuje nasze życie i jak poznać się na własnej sile”

Niemal każdego dnia musimy dostosowywać nasze emocje, żeby zadowolić innych – pomóc im odnaleźć się w danej sytuacji lub poprawić im nastrój. Ta praca emocjonalna jest czymś kluczowym dla naszego społeczeństwa i gospodarki, często jednak pozostaje niedostrzegana. W tej przełomowej książce Rose Hackman, dziennikarka „Guardiana”, dzieli się opowieściami setek kobiet, żeby prześledzić historię tego rodzaju pracy i pokazać codzienne przejawy tego zjawiska.



FOT. MARTA BULIŃSKA / I DO ART

ANATOMIA NATURY

IRMINA STAŚ w rozmowie z Julianem Kutylą

Inaczej doświadczamy świata, kiedy większość życia od najmłodszych lat spędzamy w lesie – mówi malarka Irmina Staś. O korzeniach swojej sztuki, fascynacji cyklami natury artystka opowiada Julianowi Kutyle.

Obejrzelismy właśnie twoją najnowszą wystawę „Okno Obraz Obiekt” w galerii Le Guern. Kojarzysz się przede wszystkim z malarstwem, natomiast tu mamy nie tylko starannie zaaranżowaną przestrzeń, ale też wypełniające ją obiekty – formy przypominające poduszki i kołdry. Znudziłaś się samym malarstwem?

Na szczęście malarstwo wciąż mi się nie nudzi (śmiech). Jeszcze mam w głowie wiele obrazów do namalowania. Natomiast pojawiła się u mnie potrzeba ich dotknięcia. Forma obrazu kojarzy nam się zazwyczaj z zakazem dotykania, a mi zależało na tym, żeby można było te moje prace dotknąć. Mam poczucie, że to jest najbliższa forma relacji z obiektem. Już kiedyś próbowałam wychodzić z granic obrazu na wystawie „Przemiana materii” (2016) w Miejscu Projektów Zachęty, gdzie obrazy się wręcz rozlewały na ściany galerii. Zaczęłam myśleć o tkaninie, bo już moje wcześniejsze prace, na przykład z cyklu „Ornamenty”, były inspirowane tkaninami, kojarzyły mi się z deseniem, wzorem na tkaninie. W którymś momencie po prostu zaczęłam myśleć o tym, że chcę coś uszyć.

Jesteś absolwentką warszawskiej ASP, skończyłaś pracownię malarstwa u Leona Tarasewicza w 2012 r. Powiedz mi, skąd w ogóle wybór tej pracowni? Na ile to był świadomy gest?

Na ile świadomy może być gest, kiedy się ma 20 lat? (Śmiech). Ja, będąc w liceum plastycznym

w Nałęczowie, narzuciłam sobie taką rutynę, że przyjeżdżałam raz na dwa miesiące do Warszawy i po prostu chodziłam po najważniejszych instytucjach typu CSW, Zachęta i trafiłam na zalane betonem betoniarki Tarasewicza („Malarstwo”, CSW 2003). To zrobiło na mnie tak ogromne wrażenie, że zapamiętałam po prostu, że jest taki Tarasewicz. Potem bardzo chciałam z różnych przyczyn życiowych studiować jednak w Warszawie i na pewno malarstwo.

W tamtym czasie były dwie najpopularniejsze pracownie: Modzelewskiego i Tarasewicza. Styl figuracji, który panował u Modzelewskiego – jakoś tego nie czułam, a u Tarasewicza każdy malował inaczej. Stąd mój wybór. Okazało się, że w tej pracowni była niesamowita energia do pracy, prawdziwy ferment twórczy.

Spytałem, czy to był wybór świadomy, bo w Twoich pracach można dostrzec pewne motywy kojarzone z Tarasewiczem, repetytywność, nacisk na sam proces malarski, szczególnie powiązanie sztuki z naturą...

Nawet mnie to zaskakuje, bo nie spotkałam się dotąd z takim twierdzeniem, że jest widoczne jakieś podobieństwo. Natomiast może faktycznie coś w tym jest. Chodzi o bycie blisko z naturą, życie zgodnie z jej rytmem, z jej cyklami. Ja się wychowałam w małej miejscowości, bardzo blisko lasu, więc nawet kiedy maluję rzeczy zupełnie nienoszące znamion pejzażu, ogromny wpływ na mnie ma to, co się właśnie dzieje

Irmina Staś, „Chlorofil krew 40”, 2025, olej na płótnie 160 x 160 cm. Kolekcja Impact Art.

IRMINA STAŚ

malarka, autorka obiektów i realizacji przestrzennych wpisujących się w formułę malarstwa. Studiowała w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie w latach 2008–2012, gdzie uzyskała dyplom w pracowni prof. Leona Tarasewicza na Wydziale Malarstwa.



FOT. MAREK FOGIEL

w naturze w danym momencie. Może to jest cecha ludzi pochodzących z naturalnej przestrzeni. Inaczej doświadczamy świata, kiedy większość życia od najmłodszych lat spędzamy w lesie.

Ta biologiczność jest obecna w twoich pracach w zasadzie już od „Organizmów”, czyli twojej pierwszej wystawy (2013). Zastanawiałem się, na ile to jest wpływ Twoich zainteresowań biologią jako czymś teoretycznym, a na ile bezpośredniego doświadczania tej biologiczności?

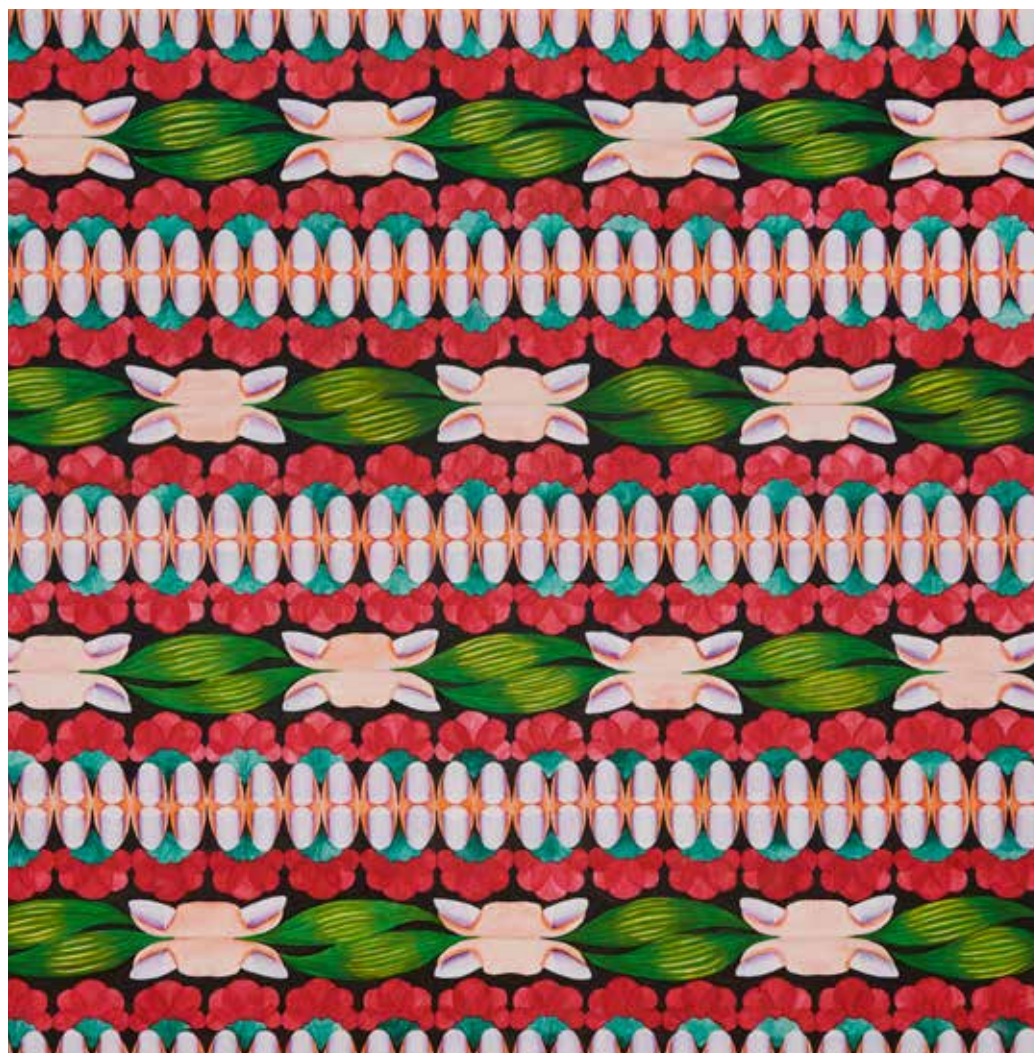
Prawie wyłącznie doświadczania. To wspomnienia, takie skrawki doświadczeń – światła w okresie roztopów marcowych czy dźwięków trzaskającego śniegu w mroźny, słoneczny ranek. Wychowywałam się w domu bez samochodu, więc niezależnie od pory roku czy pogody robiło się po parę kilometrów pieszo albo na rowerach między jakimiś dziwnymi stacjami kolejowymi, których już dawno nie ma. To są bardzo prymarne sytuacje, ale uważam, że moja twórczość jest efektem życia w ryt-

mie biologicznym – w lecie zbieranie jagód, a jesienią grzybów, żeby zrobić przetwory na zimę. Mój stosunek do wykonywania zawodu jest tego konsekwencją. Mam jakieś założenia, planuję i to jest bardzo monotonne, rutynowe. Jednocześnie próbuję nie przeoczyć tego, co przynosi świat zewnętrzny i samo malarstwo.

A jak umieszczasz w kontekście tych swoich rozmaitych zainteresowań cykl „Chlorofil i krew”?

„Chlorofil i krew” to takie naturalne przejście z serii „Ornamentów” i swego rodzaju powrót do pomysłu, który zrodził się już w „Przekrojach”: tam w formach abstrakcyjnych za pomocą kolorów symbolicznie zawierałam elementy roślinne i zwierzęce. Pojawił się taki moment, że arsenał fragmentów ciała ludzkiego, które mnie interesowały, zaczął się wyczerpywać, więc postanowiłam dodać do niego elementy ze świata roślin. Dlatego zmieniłam wtedy nazwę na „Chlorofil i krew”, czyli płyny, które charakteryzują świat fauny i flory.

Irmina Staś, „Chlorofil i krew 21”, 2023, olej, płótno, 110 x 110 cm. Dzięki uprzejmości artystki oraz Galerii Le Guern.



FOT. ADAM GUT

FOT. ADAM GUT



W ramach tego cyklu namalowałaś do kolekcji Impact Art obraz „Chlorofil i krew nr 40”. Wykorzystałaś na nim motyw piersi i kwiatów. Skąd akurat taki pomysł i czy często zdarza ci się malować na zamówienie kolekcjonerów?

„Chlorofil i krew 40” to faktycznie kompozycja zbudowana z motywów kobiecej piersi i kwiatu orchidei. Piersi w moich obrazach zawsze symbolizują życie, przedłużenie gatunku, są to piersi mleczne, karmiące. Natomiast orchidea jest dostojna, monumentalna i kojarzy się z luksusem. Także obraz ma być emanacją życia jako bogactwa i wartości. Zamówienie do kolekcji Impact Art nie było typowym zleceniem. Nie dostałam żadnych wytycznych, ani formalnych, ani treściowych. Jedynym warunkiem, jaki musiałam spełnić, było to, że obraz ma być namalowany specjalnie dla Impact. To bardzo komfortowa sytuacja dla artystki, bo dostajesz wolność wypowiedzi artystycznej i pełne zaufanie, a dodatkowo wiesz, że praca trafi do świet-

nej kolekcji. To było moje pierwsze takie doświadczenie.

Wspomniałaś, że kiedyś pracowałaś bardziej intuicyjnie. Powiedz, z czym wiążesz tę zmianę? Czy to macierzyństwo, praca na uczelni?

Wydaje mi się, że kiedy maluje się regularnie i dużo, kiedy w pewnym sensie żyje się obrazami, to zmiana jest wpisana w proces twórczy i wynika z potrzeby ciągłego poszukiwania. Kilka lat po dyplomie moje kompozycje malarskie zaczęły się porządkować, upraszczać. Być może pojawił się taki moment, że znowu będę miała potrzebę odejścia od tego porządku, który teraz sobie narzucam, do form bardziej intuicyjnych, spontanicznych. Natomiast w tym moim porządku też jest pole na swobodę malarską. Bardzo lubię, kiedy obrazy mi się rozplywają, powstają jakieś zacieki, które nie mieszczą się w rozrysowanych wcześniej pieczołowicie siatkach i ornamentach. Ja to zostawiam, nie retuszuję tego. Bardzo mi się podoba, że tam jest jeszcze przestrzeń na swobodę malarską. ■

Irmina Staś, Bez tytułu, z cyklu „Chlorofil i krew 21”, 2023, ołówek, akwarela, papier, 78 x 106,5 cm, Dzięki uprzejmości artystki oraz Galerii Le Guern.



WIELKOPOLSKA ODKRYWA ENOTURYSTYKĘ

Malowniczy krajobraz, spacer pośród rzędów winorośli, smakowanie regionalnych produktów i pełne pasji opowieści o winie – żeby spędzić weekend w winnicy, nie trzeba jechać do Toskanii. Wielkopolska ma własny szlak winnic. Oferują degustacje, zwiedzanie, udział w zbiorach winogron i wiele innych atrakcji.

TEKST: Marta Danielewicz,
„Gazeta Wyborcza” Poznań

„Czasami zastanawiamy się, czy ta plantacja jest warta tego, by w mroźną noc ją ogrzewać. Wstawać bladym świtem, by zakończyć zbiory, nim słońce będzie wysoko”, mówią Paweł i Marlena Gronowscy. „A potem siadamy z gośćmi i sąsiadami. Rozkoszujemy się widokiem winnicy i smakiem wina” – przyznają.

Jest słoneczne popołudnie. W powietrzu unosi się zapach lawendy, słychać brzęczenie owadów. Siedzimy na tarasie przed 130-letnim domem. Przed nami rozpościera się widok na plantację winorośli, którą okala gęsty las.

NAUCZYĆ SIĘ KOCHAĆ WINO

Należąca do Gronowskich winnica Stara Szkoła jest położona na obrzeżach popegeerowskiej wsi Karczewko, na skraju Puszczy Zielonki, 38 kilometrów od Poznania. Okolica to pola i lasy, rzut beretem od Jeziora Turostowskiego i Cysterskiego Szlaku Rowerowego, który łączy miejsca związane z zakonem w Wielkopolsce. Można stąd także wyruszyć na wycieczkę szlakiem drewnianych kościołów. Paweł i Marlena kupili posiadłość cztery lata temu. Miesz-

ZDJĘCIA: PEXELS, MATERIAŁY PRASOWE

kali wtedy kilka gmin dalej, w Czerwonaku, bliżej Poznania. Okolicę poznawali podczas rowerowych wycieczek. Już wtedy Paweł, jeszcze jako CEO dużej firmy, interesował się winiarstwem. Podczas zagranicznych podróży często odwiedzał z Marleną winnice, a z każdą kolejną opowieścią ich właścicieli nabierał pewności, że winiarstwo mogłoby być i jego sposobem na życie.

Na początek zasadził 30 krzewów i zaczął produkować tzw. wino domu, którym obdarowywał znajomych. Coraz śміiej myśleli z żoną o założeniu własnej winnicy. Aby to zrealizować, potrzebne było odpowiednie „know-how”. Dlatego, mimo że oboje przekroczyli pięćdziesiątkę, rozpoczęli studia podyplomowe z technologii winiarstwa na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu. Dzień zaczynali od testowania win, potem zwiedzali winnice.

TRAFIĆ W GUST RODAKÓW

To Marlena dała zielone światło do zakupu terenu w Karczewku. Przebudowa starej, 130-letniej poniemieckiej szkoły na klimatyczny dom i pokoje gościnne wystartowała na równi z przygotowaniem gruntu pod plantację winorośli. Przeznaczili na to dwa hektary ziemi, gdzie obecnie rośnie osiem tysięcy sadzonek ośmiu odmian winorośli: souvignier gris, johanniter, sauvitage, muscaris i solaris, z których wytwarzane są wina białe i pomarańczowe, oraz szczepy na wina czerwone i różowe: zweigelt, salome i dornfelder. Konikiem Pawła są wina musujące, które dzięki odpowiedniemu klimatowi udają się w Polsce dobrze. Odpowiednie smaki pomaga mu dobrać Marlena. „Polacy częściej wolą wino półsłodkie od wytrawnego, dlatego doradzam mężowi, by robił ciut słodsze” – wyjaśnia. Wino pomarańczowe (zwane także bursztynowym), którego można skosztować w Starej Szkole, uchodzi za rarytas koneserów. Wytwarza się je z winogron białych, ale metodą zbliżoną do produkcji win czerwonych – skórki nie są od razu usuwane z moszczu, lecz macerowane z nim. Od tysięcy lat wytwarzane w Gruzji i Armenii, dziś przeżywa swój renesans w Europie. Jest tani i wytrawne, smakuje wybornie w towarzystwie pleśniowego sera.

Rocznie w Starej Szkole produkuje się kilkaset butelek wina. Głównie do degustacji i na niewielką sprzedaż – bezpośrednią lub podczas targów. Paweł szacuje, że plantacja mogłaby potencjalnie wyprodukować nawet 10 tys. litrów wina rocznie. Jednak na razie jest to nieosiągalne ze względu na trudne do przewidzenia warunki atmosferyczne.

16 TYSIĘCY MINUT DZIENNE

Wraz z powstaniem winnicy narodził się pomysł, by poprowadzić enoturystykę, czyli turystykę winiarską, w której goście przyjeżdżają, zwiedzają winnicę, biorą udział w degustacjach, zatrzymują się na noc i często korzystają także z innych atrakcji regionu. Taki styl wypoczyniania w Polsce dopiero zaczyna się rozwijać, ale z roku na rok cieszy się coraz większym zainteresowaniem. Paweł, działając aktywnie w Wielkopolskim Stowarzyszeniu Winiarzy, był inicjatorem powstania Wielkopolskiego Szlaku Winnic i propagowania polskiego winiarstwa przez rozwój enoturystyki.

U Gronowskich gości nie brakuje. „Przycho-
dzą sąsiedzi, przyjeżdżają koła gospodyń wiejskich, zorganizowane grupy kilkunastoosobowe. Gdy jest już po zbiorach, pozostawiamy kilka winorośli z owocami, by mogli zobaczyć, jak to jest być winiarzem. Potem jest degustacja. Wielu naszych sąsiadów wytwarza własne produkty. Mamy od nich białe sery, miód, wędliny”.

Prowadzenie winnicy to nie tylko przyjemność, ale także codzienna, mozolna praca. Paweł szacuje: „Prawie 8000 sadzonek. Każdej poświęca się 2 minuty – to już 16 tysięcy minut. Do każdego krzaka muszę podchodzić indywidualnie, poznać jego potrzeby, zdiagnozować problemy. Zbierając owoce, pozbyć się chrabąszczy. Oprysków nie stosujemy”.

Oprócz tego zimą, szczególnie gdy są mrozy, sadzonki trzeba chronić przed nadmiernym chłodem. W tym celu rozpala się ogniska i ogrzewa plantację dymem. Potem jeździ się między winoroślami traktorem, by ciepło dotarło wszędzie. „Tak naprawdę niebezpieczne nie są zimy, ale wiosenne przymrozki, kiedy startuje wegetacja, a temperatura potrafi spaść nocą do minus 8 stopni Celsjusza” – mówi Paweł.

TOSKANIA W SERCU POLSKI

Gospodarstwa enologiczne, które oferują zwiedzanie i degustację, a także bogatą dawkę wiedzy o winie, stają się w Polsce coraz bardziej popularne, głównie w Małopolsce, województwie lubuskim i na Podkarpaciu. Wielkopolska też nie ma się czego wstydzić – najnowsze badania



Winnica Stara Szkoła

archeologiczne wskazują, że kolebka winiarstwa znajdowała się na Ostrowie Tumskim, czyli obecnie centrum Poznania. Początki tej tradycji sięgają przełomu X i XI wieku. Potem klimat stał się chłodniejszy, co spowodowało konieczność importu win z zagranicy. Aż do 2007 roku, gdy w regionie znów zaczęły powstawać winnice z prawdziwego zdarzenia. Pierwsze były Winnica Katarzyna i Winnica Niewinne Siostry.

Jedną z ciekawszych jest Winnica Edison z Baranowa, malowniczo położona nad Jeziorem Kierskim, tuż przy hotelu Edison. Należy do Przemysława Woźnego, a w prowadzeniu jej pomaga Maciej Krystowski, prezes Wielkopolskiego Stowarzyszenia Winiarzy. U niego przygoda z winami zaczęła się przypadkiem, od wypadu na wakacje na południe Francji, do Bordeaux. „To było 20 lat temu. Pojechaliśmy zwiedzić winnice, zupełnie nie znając się na winie. Ale wszystko było pozamykane, nie mieliśmy pojęcia, że trzeba się umawiać, robić rezerwację. Żli i głodni weszliśmy do jakiegoś sklepiku z winami. Właściciel zaczął nam opowiadać o winach, częstować nimi. Zauroczył mnie. Tak kupiłem pierwszą drewnianą skrzynię na butelki i zacząłem zgłębiać temat”. Niedługo po tym Maciej Krystowski zaczął organizować wyjazdy winiarskie dla znajomych, po całym świecie: Gruzji, Nowej Zelandii, Chile, Argentynie, Kalifornii i oczywiście Europie. Nauczył się rozróżniać różne smaki i aromaty wina.

Kiedy jego przyjaciel kupił hotel w Baranowie i postanowił na okalającej go ziemi posadzić winorośl, Krystowski z entuzjazmem go wspierał. Jako konsultant zaproszony został Piotr Stopczyński – uznany enolog, który wprowadził ich w świat produkcji wina. Tak w 2017 powstała półhektarowa winnica, która obecnie powiększyła się o kolejną działkę leżącą już na terenie miasta Poznań.

KLIMAT, KTÓRY SPRZYJA CORAZ BARDZIEJ

Maciej Krystowski nie tylko wspiera rozwój Winnicy Edison. Jest także założycielem i motorem napędowym Wielkopolskiego Stowarzyszenia Winiarzy zrzeszającego dziś 26 winnic. Ich szlak powstał przy zaangażowaniu Urzędu Marszałkowskiego Województwa Wielkopolskiego, który wspiera tę działalność, współorganizując również targi polskich

Paweł i Marlena,
właściciele winnicy
Stara Szkoła



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



FOT. PEXELS

win. Odwiedzający je mogą degustować trunki i kupić ulubione. „90 proc. polskich winnic nie oferuje sprzedaży hurtowej do sklepów czy restauracji. To wciąż zbyt mało znany produkt i za mała produkcja”, mówi Krystowski.

Z hektarowej winnicy, przy dobrych warunkach, winiarz jest w stanie wyprodukować od 2 do 4 tys. dobrych butelek. Plany właścicieli winnic krzyżują jednak późnowiosenne przymrozki. „Dlatego najłatwiej kupić wino bezpośrednio od winiarzy podczas targów. Wiele winnic próbuje też sprzedawać za pośrednictwem internetu, choć Polska jest jedynym krajem w Europie, gdzie ta działalność nie jest prawnie uregulowana”, dodaje prezes stowarzyszenia. W Wielkopolsce, podobnie jak w innych częściach Polski, uprawia się głównie odmiany hybrydowe, bardziej odporne na warunki klimatyczne: solaris, muscaris, hibernal, johanniter, souvignier gris. Ale nasadza się także coraz więcej odmian tzw. winorośli właściwej, jak riesling, chardonnay i pinot noir. „W naszym klimacie tzw. hybrydy mają dobre warunki wzrostu i powstają z nich bardzo przyzwoite trunki. Oczywiście te największe, najbardziej uznane w świecie wina są wytwarzane ze szczepów winorośli właściwej, dlatego mimo trudniejszych warunków, sadzimy ich coraz więcej”, dodaje prezes stowarzyszenia.

Maciej Krystowski chciałby, aby enoturystyka stała się w Polsce popularna jak w krajach śródziemnomorskich. Badania wskazują, że jest to jedna z najszybciej rozwijających się branż turystyki w Europie. „Ludzie, szczególnie od czasu pandemii, chcą wyjeżdżać z miast, pragną kontaktu z przyrodą i rolnictwem. Jeśli winiarz opowie ciekawie o swojej pasji, pracy w winnicy i jest to połączone z możliwością wypoczynku, wypicia i zjedzenia czegoś dobrego i lokalnego, to czego więcej szukać?”, pyta. Tym bardziej, że enoturystyka nie ogranicza się tylko do wina. „Zachęcamy do wycieczek, korzystania ze szlaków rowerowych, spływów kajakowych czy pól golfowych, które znajdują się nieopodal winnic. Wielu winiarzy dba o różnorodność doświadczeń swoich gości – ktoś ma staw, w którym można powędkować, ktoś inny proponuje noclegi w dużych beczkach, ktoś organizuje nordic walking albo – jak Winnica Niewinne Siostry – biegi przełajowe po malowniczym terenie morenowym. Jeszcze ktoś ma rodzinne gospodarstwo rybackie i łączy degustację wina z daniami ze świeżych ryb” – wylicza Maciej Krystowski. „Wino staje się wtedy przewodnikiem, który chwyta nas za rękę i pokazuje: zobacz, jaki świat jest smaczny i piękny” – dodaje.

Badania klimatologów wskazują, że uprawa winorośli w Polsce może być coraz łatwiejsza. Regiony południowej Europy w ostatnich latach doświadczają zbyt wysokich temperatur, co prowadzi do długotrwałych susz, a także przyspiesza dojrzewanie owoców i zwiększa w nich zawartość cukru. Brak cukru powoduje, że wino staje się zbyt kwasowe, natomiast jego nadmiar sprawia, że zawartość alkoholu jest zbyt wysoka, co z kolei negatywnie wpływa na szlachetny smak trunku. Regiony położone dalej na północy stają się więc atrakcyjne pod kątem uprawy winorośli. Konsumenci na całym świecie coraz częściej wybierają lżejsze wina, bardziej aromatyczne, zawierające mniejszą ilość alkoholu. Takie produkuje się właśnie w chłodniejszym klimacie.

KONSUMENCI NA CAŁYM ŚWIECIE CORAZ CZĘŚCIEJ WYBIERAJĄ LŻEJSZE WINA, BARDZIEJ AROMATYCZNE, ZAWIERAJĄCE MNIEJSZĄ ILOŚĆ ALKOHOLU. TAKIE PRODUKUJE SIĘ WŁAŚNIE W CHŁODNIEJSZYM KLIMACIE.

W Polsce dominuje uprawa białego szczepu solaris, a wśród czerwonych najczęściej posadzano krzewów odmian hybrydowych – rondo i regenta. Z roku na rok przybywa nasadzeń białego rieslinga i chardonnay oraz czerwonego pinot noir wśród odmian klasycznych (vitis vinifera).

Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa (KOWR) zebrał dane dotyczące skali produkcji wina w Polsce. W sezonie 2024/2025 zarejestrowanych było aż 699 winnic – o 132 więcej niż w poprzednim. Zdaniem dr. hab. Mariusza Maciejczaka ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie Polska może stać się krajem, w którym uprawy winorośli i produkcja wina gronowego będą miały sprzyjające warunki. „Szczególnie polscy konsumenci poszukują win w segmencie premium, gdzie jednym z wyznaczników jest ekologiczne pochodzenie”, mówi. Enoturystyka będzie niewątpliwie dynamicznie się rozwijać i zapewni nam wiele nowych wrażeń. ■



Restauracja Kunst

FOT. MERY WILCZYŃSKA

JESIEŃ OD KUCHNI

Jesień w Poznaniu pachnie pieczoną gęsią, modrą kapustą i świeżo mielonym makiem. Czuć także woń rozgrzewających ramenów, dań kuchni francuskiej i innych odsłon wysokiej sztuki kulinarnej. To najlepsza pora, by wpaść tu na weekend i posmakować zarówno potraw lokalnych, jak i kuchni świata.

TEKST: Magdalena Ratajczak & Mateusz Spurtacz, MYTUJEMY.

Poznań kulinarnie rozkwita, a jesienne miesiące to dobry moment, by tego doświadczyć. W kartach menu pojawiają się comfort food – sycące, aromatyczne dania, często przywołujące smaki dzieciństwa. Stworzone nie tylko, by zaspokoić głód, ale też poprawić nastrój. To właśnie teraz miasto smakuje najpełniej: tradycyjnie, sezonowo, trochę nostalgicznie – z szacunkiem dla lokalnych produktów i potraw.

Jesienną królową wielkopolskich stołów jest gęsiina. Jej związek z miastem sięga średniowiecza i legendy o Świętym Marcinie, który – jak głosi opowieść – chcąc uniknąć objęcia biskupiej godności, ukrywał się w gęsiarni, ale gęganie ptaków zdradziło jego kryjówkę. Legenda dała początek tradycji celebrowania imienin świętego (11 listopada) pieczoną gęsią, która stała się symbolem gościnności i obfitości. Nie jest to przypadek. Jesień, a w szczególności listopad, to czas, gdy mięso gęsi jest najbardziej soczyste i ma najlepszą strukturę. Delikatne i aromatyczne, znane z przepisów kuchni dworskiej i szlacheckiej, odpowiednio przyrządzone, rozpływa się w ustach. W Poznaniu szefowie kuchni serwują je w wielu wariantach – od klasycznego z jabłkami i modrą kapustą po nowoczesne kompozycje inspirowane kuchnią europejską. Imieniny św. Marcina celebruje się także znanymi już w całej Polsce rogalami świętomarcińskimi. Tradycja ich wypieku sięga końca XIX wieku. Jako produkt regionalny, chroniony unijnym certyfikatem, mają one swój kanoniczny skład: ciasto półfrancuskie na margarynie oraz nadzienie z białego maku, orzechów, rodzynek, skórki pomarańczowej i migdałów. Dziś przepis inspirowany lokalnymi mistrzami cukiernictwa do własnych interpretacji. Coraz więcej autorskich cukierni sięga po masło zamiast margaryny, rezygnuje z nadmiaru cukru i tworzy własne wariacje – lżejsze, bardziej wyrafinowane, często wypiekane w limitowanych seriach. Zapraszamy na kulinarny tour po Poznaniu!



FOT. MERY WILCZYŃSKA



Od góry: wnętrze restauracji Kunst, rogal z OVO.PRACOWNIA

ZŁOTA KACZKA

Głogowska 123

Złota Kaczka to jedna z najbardziej zasłużonych restauracji w Poznaniu – działa nieprzerwanie od 1978 roku i niezmiennie serwuje klasykę polskiej kuchni z autentycznym szacunkiem do tradycji. Gęś piecze się tu w całości, według tej samej receptury od ponad czterech dekad, i podaje z ręcznie robionymi pyzami i modrą kapustą. – Gęsina szczególnie w listopadzie ma w naszej kuchni wyjątkowe miejsce – to mięso szlachetne, zapomniane przez lata, które warto przywracać na stoły. Zarówno kaczki, jak i gęsi pieczemy w całości, według tej samej metody od 1978 roku. Pyzy również od lat przygotowujemy od podstaw w naszej kuchni – mówi Mikołaj Mikołajewski, szef kuchni. Równie ważny jak smak jest tu klimat – tworzą go oryginalne witraże autorstwa poznańskiego artysty Karola Bąka.

MODRA KUCHNIA

Mickiewicza 18

Modra Kuchnia to współczesna opowieść o domowej kuchni wielkopolskiej – kameralna restauracja na poznańskich Jeźycach, prowadzona przez małżeński duet: Szymona Sławińskiego, szefa kuchni, i Dorotę Nadolską-Sławińską, ekspertkę od gościnności. Serce lokalu stanowi otwarta



FOT. MYTUJEMY

Złota Kaczka



FOT. MYTUJEMY

kuchnia – dosłownie i w przenośni. Menu czerpie z tradycji ludowej, ale nie odtwarza jej jeden do jednego – to polska kuchnia domowa w autorskim wydaniu, przemyślana i sezonowa. Tutejsza pyza z szarpaną gęsina i wiśniami to danie, które świetnie pokazuje filozofię Modrej: klasyczne składniki, lokalny produkt, współczesna, polska forma burgera. Na uwagę zasługuje także jej roślinna alternatywa z bocznikami, które wręcz idealnie odwzorowują konsystencję mięsa. W karcie znajdziemy też kulebiaki, rosół, pyrę z gzikami czy czerninę – wszystko przygotowane od podstaw i podane bez nadęcia.

MO.BAR,

Wroniecka 18

Miejsce, które przyciąga miłośników wyśmienitej kuchni i wyjątkowej atmosfery. Dzięki szefowi kuchni Bartoszowi Kaszyńskiemu, który zdobywał doświadczenie w michelinowskich restauracjach, można tu odkrywać tradycyjne smaki w zupełnie innej odsłonie. Szarpana gę-

Modra Kuchnia

sina w ich wykonaniu zasługuje na złoty medal – podana w puszystej pszennej bułce nawiązuje do specjału lokalu – pulled porków, czyli kultowych burgerów z szarpaną wieprzowiną i dodatkami.



BARDZO, Żydowska 2

Autorskie rogale z masłem, pachnące migdałami, bardziej kruche i mniej ciężkie niż klasyk. W połączeniu z kawą specjality potrafią być doskonałym uzupełnieniem eskapad po poznańskich uliczkach. „Lekkie listkujące ciasto przygotowuję na masle, a wyraziste nadzienie z białego maku pełne jest Amaretto, własnoręcznie robionego marcepanu i miodu z pasieki moich przyjaciół oraz rodzynek moczonych w ulubionym rumie. W tym zestawieniu to słodki comfort food, za którym przepadam” – zdradza cukiernik i właściciel kawiarni Bardzo, Piotr Lasik.



Po prawej: OVO.Pracownia

Po lewej: MO.BAR



FOT. MYTUJEMY

OVO.PRACOWNIA, Dominikańska 7

Miejsce dla prawdziwych koneserów, którzy cenią sobie nie tylko wyrafinowany smak, ale również kunszt wykonania. Tu rogale to małe dzieła sztuki – pięknie formowane, z perfekcyjnie wyważonym nadzieniem. To miejsce dla tych, którzy szukają tradycji w nowym wydaniu. Lokal tworzony przez wielokrotnie nagradzanego cukiernika Michała Doroszkewicza.

KAFERDAM, otwarty dziedziniec przed Zamkiem

Między rogalą a gęsina warto wpaść tu na kawę albo na autorskie śniadanie. Kafeerdam przed Zamkiem Cesarskim to nowoczesne miejsce z charakterem i bezpretensjonalnym stylem, który przywodzi na myśl berliński Kreuzberg. To jeden z lepszych punktów na listopadowe obserwowanie miejskiego ruchu – zwłaszcza przy filizance kawy specjality. W menu: świetne przelewy, nitro i aromatyczna matcha. Na śniadanie szczególnie polecamy ich sezonowe, puszyste pankejk!

Rogale z cukierni Bardzo

KUNST, Stary Rynek 6, Galeria Miejska Arsenał

Koncept otwarty na początku 2025 roku przez właścicieli popularnej poznańskiej klubokawiarni Mitte – Agatę Rożankowską i Sebastiana Golińskiego. Restauracja znajduje się w budynku Galerii Miejskiej Arsenał w sercu Starego Rynku. Nazwa „Kunst” – po niemiecku „sztuka” – świetnie oddaje ideę lokalu, który traktuje gotowanie jak formę artystycznej ekspresji. Wnętrze łączy styl vintage z nowoczesnymi, surowymi elementami ze stali nierdzewnej, a otwarta kuchnia pozwala gościom na bliski kontakt z procesem tworzenia dań opartych na lokalnych, najwyższej jakości składnikach. W menu, obok jesiotra i boczku ze świni złotnickiej, znajdziemy dopasowane warianty wege.

TONARI, Jackowskiego 37

To wyjątkowe miejsce przesiąknięte duchem Japonii lat 90., stworzone przez polsko-koreański duet – Jakuba Teppera oraz Min Han – którzy przenieśli tamtą wyjątkową estetykę do Poznania. Wnętrze przy Jackowskiego to hołd dla tokijskich mieszkań sprzed de-



FOT. MAGDA KLIMCZAK

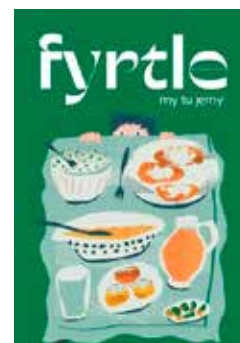
kad – pełne książek, tradycyjnych japońskich magazynów, drobnych detali i przytulnego światła. Tu skosztujecie prawdziwej, domowej kuchni japońskiej: aromatycznych ramenów, zestawów teishoku, donburi, kremowego katsu curry i klasycznych onigiri. Dania dostępne są także w wersji bezmięsnej – z roślinnej alternatywy warto spróbować Vege Tantamen czy onigiri Vege Pirikara Soboko z wegańskim mielonym na bazie soi.

WINNOWIERCY, Mickiewicza 34

Doskonałe miejsce na wieczór – sklep i winny bar, który przerodził się w tętniące życiem miejsce spotkań. Kamila i Jakub Kubacy, pasjonaci naturalnych i biodynamicznych win, oferują ponad 200 etykiet oraz sezonowe menu przygotowane przez szefa kuchni Krzysztofa Łapawę, pełne francuskich inspiracji. Karta zmienia się zależnie od pory roku oraz dostępności warzyw i owoców na pobliskim Rynku Jeżyckim. Wszystkie dania są w 100 procentach wegetariańskie, a wieczorne uczty tutaj zawsze kończą się domowymi, ciągnącymi się krówkami!

Krzysztof Łapawa,
szef kuchni restauracji
Winnowiercy.

Magdalena Ratajczak
& Mateusz Spurtacz, MYTUJEMY: Poznań smakujemy od lat. Pomagamy ludziom znaleźć miejsca warte odwiedzenia. Znamy adresy, gdzie serwuje się gęsine jak dawniej – z modrą kapustą i jabłkiem. Wiemy, w której piekarni warto stanąć w kolejce po najlepszego rogalia w mieście i wciąż odkrywamy nowe miejsca. Jesteśmy autorami książki „FYRTLE: MY TU JEMY” wydanej nakładem Wydawnictwa Miejskiego Poznania.



Tonari

**PLAN
YOUR
IMPACT
RIGHT
NOW**

impact'26

13-14 MAY

POZNAŃ / WIELKOPOLSKA

The world's premier
global space event
is coming to Poznań!

**78th International
Astronautical Congress**

SAVE^{THE} DATE

Sep 27th - Oct 1st
2027, POZNAN
iac2027.com

**IAAC
2027**

EUROPEAN
SPACE
FOUNDATION

P L S A
Polish Space
Agency



Ministry of Economic Development and Technology
Republic of Poland

POZnań*
convention
bureau

mtp
GRUPA

**P-C
IC**
Poznań
Congress
Center

theway

impact

POLISH AIRLINES
LOT
A STAR ALLIANCE MEMBER